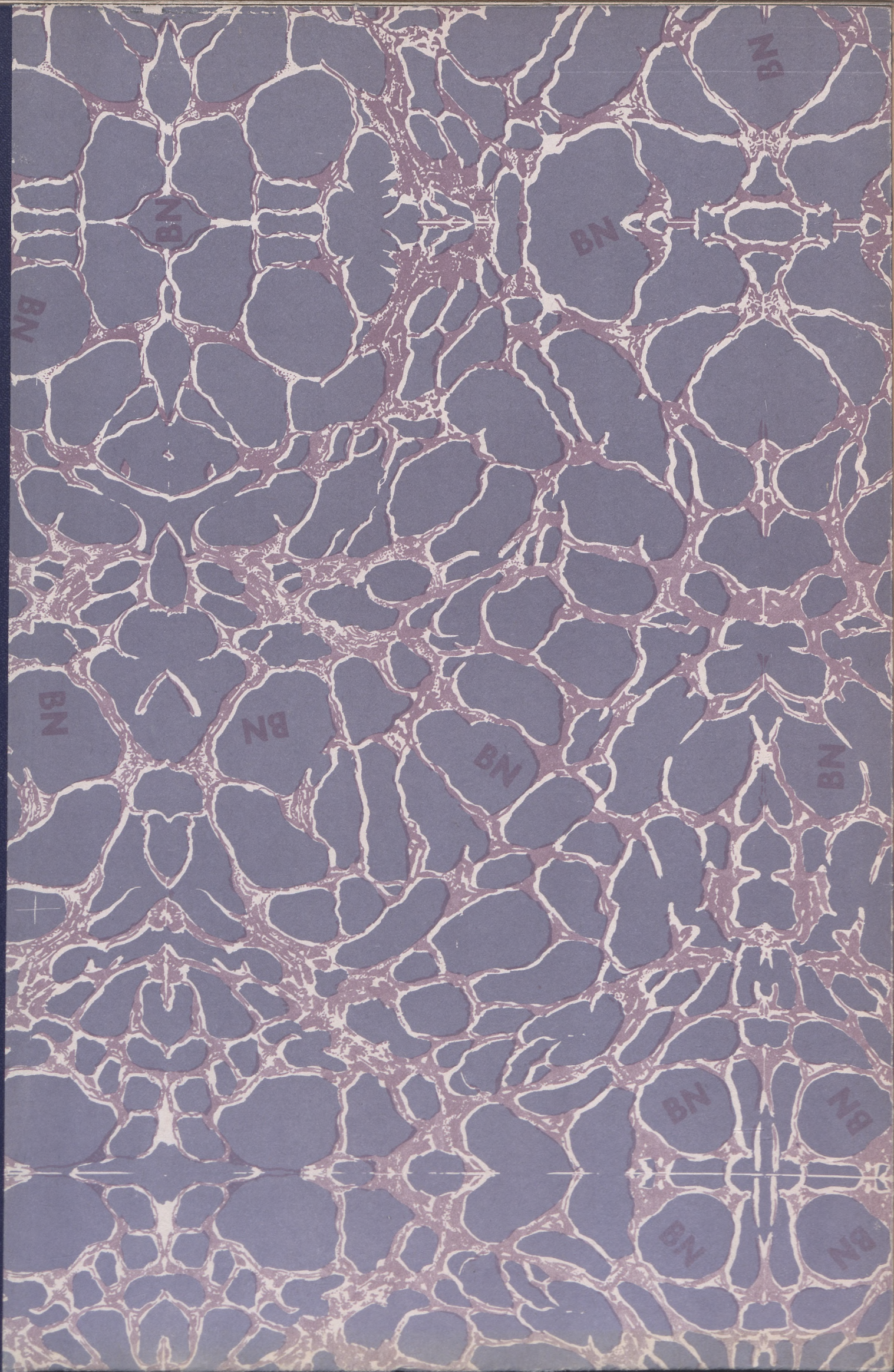


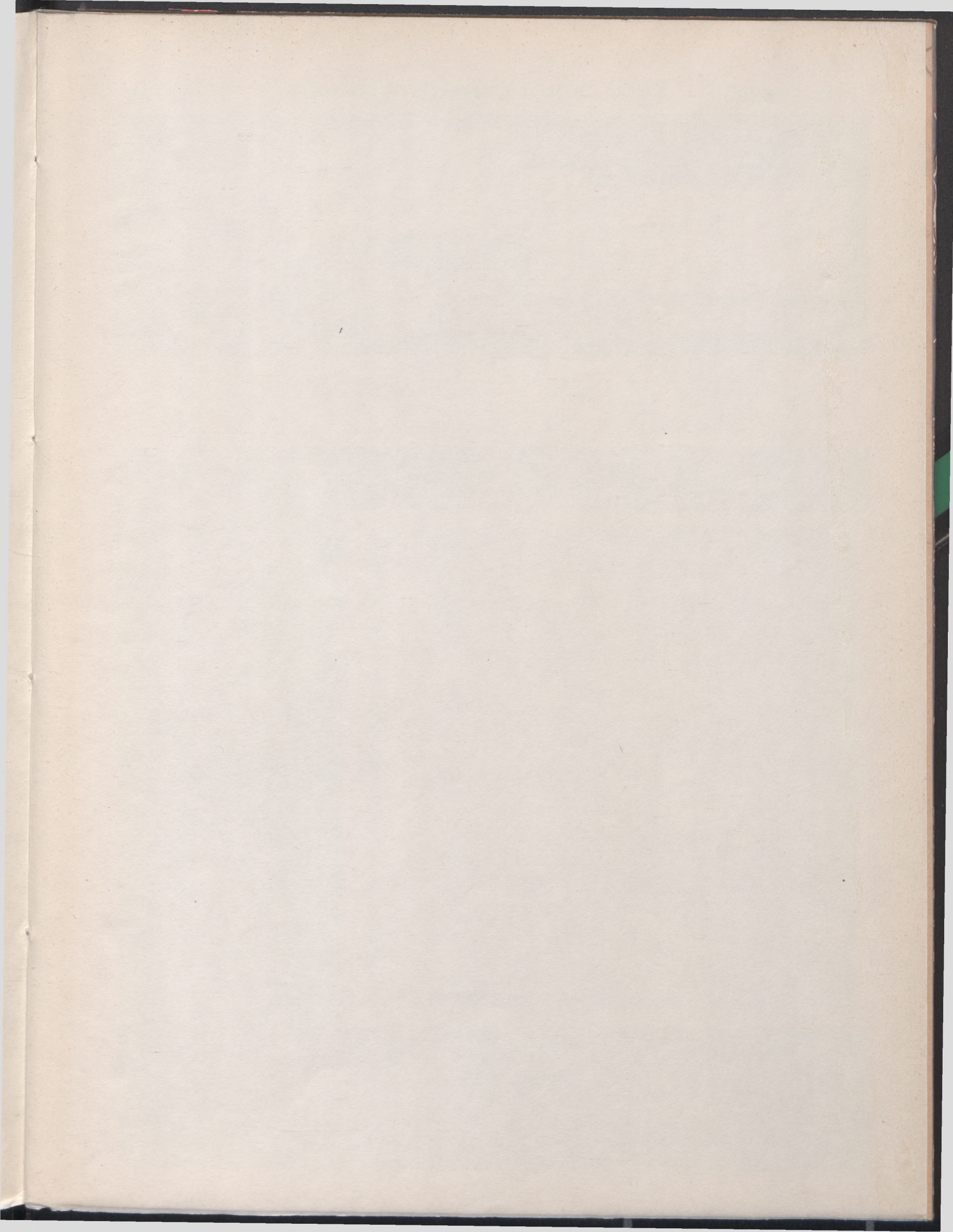
623405\45





BN











III - 622.405/43  
Nr. 45.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



# HARRY DICKSON

PRZYGODY  
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

## SREBRNA MASKA







# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# SREBRNA MASKA

## Wioska Kawalerów

Wypadek, który nazwano katastrofą „E. 19” zdarzył się we wrześniu r. 19.. pomiędzy Tower Bridge a London Bridge.

Poranek był jasny, niezbyt mglisty, lekkie opary unosiły się nad Tamizą. Około dziesiątej rano mieszkańcy, usłyszawszy warkot motoru, podnieśli głowy w górę i wszyscy uśmiechnęli się, nieco zdziwieni.

Nie był tutaj rzadkim zjawiskiem przelot wspinających jednostek angielskiej obrony powietrznej, ale sterowiec, który leciał teraz wzdłuż Tamizy, wydawał się raczej zabytkiem muzealnym. Kształt miał dziwny, był krótki i niezgrabny, zaopatrzone w szerokie boczne skrzydła i wiazadła. Łódka, bardzo mała, nie tworzyła całości z samym sterowcem, lecz była do niego przymocowana mniej więcej w środku jego długości.

— Skąd to się wzięło? — krzyżeli mali gazetarze. — chyba było własnością jeszcze królowej Wiktorii!

Sterowiec z wolna posuwał się naprzód, tempo jego najwidoczniej osłabiały powiewy wiatru od strony morza.

— Z pewnością leci on do muzeum, gdzie umieszcza go w gablotce. — żartowali studenci.

Ale reporterzy dzienników, spoglądający przez okna sal redakcyjnych, ożyli się:

— Patrzcie, zjawił się stary „E. 19”! Jeszcze gotów się zaziębić!

— Cóż to jest „E. 19”? — pytali sekretarze redakcyj.

Reporterzy, zwłaszcza londyńscy, umieją odpowiadać na wszystkie pytania:

— Jest to aparat przedwojenny, skonstruowany przez wynalazcę profesora Jeremiasza Caltropa, zamieszkałego w Orpington. Chciał on sprzedać swój sterowiec państwu, ale aparat nie odpowiadał wymaganiom chwili. W czasie wojny zarejestrowano go w Urzędzie Lotniczym pod szyfrą „E. 19”, ale użyto go tylko raz — czy też dwukrotnie, zresztą bez wielkiego pożytku. Po zakończeniu wojny Caltrop otrzymał swój aparat z powrotem i umieścił go w swoim hangarze w Orpington.

— Warto byłoby dowiedzieć się, w jakim celu wyruszył, możnaby dać o tym dwadzieścia wierszy druku. — orzekli kierownicy działu informacji.

— Dobrze, zatelefonujmy na lotnisko w Croydon, to jest niedaleko Orpington, będą tam napewno ludzie, którzy powiedzą nam coś o tej wycieczce.

Reporterzy mieli rację. W Croydon posiadano informacje.

— Caltrop był w stosunkach z posiadaczami małej wysepki na Kanale, którzy pragnęli założyć tam wielkie uzdrowisko. Postanowili więc kupić sterowiec, a w przyszłym roku zorganizować normalną komunikację pomiędzy wybrzeżem a ich wyspą. Do tego potrzeba im było jednak pozwolenia rządu i komisji kontrolnej. „E. 19” nie jest wprawdzie szybki, ale solidnie zbudowany i daje pełną gwarancję bezpieczeństwa pasażerom.

Pozwolenie zostało więc wydane. Sterowiec odbywał teraz przejażdżkę ponad Londynem, wraz ze swym nowym właścicielem, Markiem Crestonem i jego dwoma inżynierami, a potem miał udać się do nowej siedziby, na wyspę Creston, nazwaną tak od nazwiska posiadacza.

— Dwadzieścia wierszy i rzeczywiście nie więcej, — mruknęli dziennikarze.

— Ależ będzie więcej — zawołali nagle reporterzy. — spójrzcie.

Natychmiast wszyscy pochwycili lornetki i skierowali je na sterowiec.

Jakiś człowiek zawisł pod nim, trzymając się jeszcze krawędzi łodzi, i nagle runął z wysokości w dół, a w chwilę później to samo spotkało dwóch innych.

Sterowiec gwałtownie wzbił się wyżej i znikł w chmurach. Warkot jego motoru stawał się coraz mniej dostłyszalny, poczem umilkł zupełnie.

Ale reporterzy biegli już w stronę straszliwego miejsca, gdzie spadła załoga „E. 19”.

★

W dwadzieścia cztery godziny później, w notatniku Harry Dicksona, obarczonego śledztwem, na mocy specjalnego rozkazu Scotland Yardu, sprawa ta przedstawiała się w sposób następujący:

Zwłoki trzech mężczyzn, którzy wypadli ze sterowca „E. 19”, są zupełnie zniekształcone. W kieszeni jednego z nich znajdowały się dokumenty na nazwisko Marka Crestona oraz dowody posiadania małej wysepki Sham, przemianowanej na Creston. W kieszeniach dwóch pozostałych ludzi nie znaleziono żadnych dowodów osobistych.



Prawa własności są niewatpliwe, ale nazwisko Marka Crestona jest fałszywe.

Pertraktacje pomiędzy Crestonem a profesorem Caltropem trwały tylko pięć dni. Obie strony osiągnęły porozumienie już trzeciego dnia, ale trzeba było jeszcze czekać na pozwolenie Urzędu Lotniczego.

Zapłata w sumie 10.000 funtów w banknotach stu funtowych, została doręczona przez rzekomego Crestona do rąk własnych profesora Caltrupa, w przeddzień katastrofy „E. 19”. Suma ta została podjęta tegoż dnia z Midland-Banku, gdzie sam Creston złożył ją był przed tygodniem nie w banknotach, lecz w złocie. Przywieziono to złoto w specjalnym aucie pancernym, w pięciu skrzyniach. Na żądanie Crestona wymieniono mu to na banknoty. Przez te banknoty więc nie można było uchwycić żadnego śladu.

„E. 19” był to aparat solidnie zbudowany, i według zapewnień profesora Caltrupa a także inżynierów z Urzędu, łatwy do prowadzenia, nie mógł jednak rozwijać większej szybkości z powodu nie dość silnych motorów i konstrukcji. A jednak bezpośrednio, po katastrofie, samoloty wyruszyły z Croydon na poszukiwanie sterowca, i nie mogły go odnaleźć. Nie było też żadnej wiadomości o jego upadku, czy też pojawieniu się gdziekolwiek...

Kiedy Harry Dickson odczytał raz jeszcze te notatki, westchnął głęboko i spojrzał przed siebie, zniechęcony.

Uczeń jego, Tom Wills, skorzystał z tego i odważył się przemówić:

— A więc mamy tu ludzi, którzy czynią wszystko, co możliwe, aby ich nikt nie poznał, którzy wydają szalone sumy na kupno skalistej wysepki na Kanale, oraz starego sterowca, i którzy wypadają z jego gondoli i zabijają się na miejscu.

Harry Dickson wzruszył ramionami:

— Byłoby to piękne, gdyby wykryło się tajemnicę zaraz na początku; zastaliśmy tego biednego profesora Caltrupa, otoczonego chmurą reporterów...

— Jakto, więc powrócimy do tego zabawnego staruszka? — spytał Tom Wills. — Zdaje mi się, że on jedynie cieszy się ze swoich dziesięciu tysięcy funtów.

— Jest to biedny i poczciwy uczonec; rozczuła mnie poprostu jego upór, z jakim nazywa doskonałością dzieło zupełnie mierne. Odwiedzimy go raz jeszcze i mam nadzieję, że tym razem zastaniemy tam mniej ludzi, — zdecydował detektyw.

Auto, prowadzone przez Toma Willsa, wyjechało z Londynu i, po pewnym czasie przybyło do Orpington.

Hangar, w którym stał dawniej „E. 19”, pole doświadczeń, oraz dom profesora Caltrupa znajdowały się nieco za miasteczkiem, w oddaleniu od szosy. W pobliżu znajdowała się jedynie mała wioska, składająca się zaledwie z kilku domków. Posiadłość profesora była obszerna, ale zaniedbana, a wielki park zamienił się niemal w dżunglę. Caltrop był kiedyś zamożnym człowiekiem, ale jego niefortunne wynalazki pochłonęły większą część majątku.

Gdy auto podjeżdżało do wioski, detektywi ujrzeni, że mieszkańcy jej stoją na progach domów i spoglądają z ciekawością na staromodny, wysoki wóz na resorach, na który robotnicy ładowali właśnie prymitywne, ubogie meble. Jakiś niski mężczyzna o zatroskanej minie wydawał im rozkazy.

Ponieważ droga była wąska, Tom musiał zatrzymać maszynę.

Pozdrowił ich człowiek w niebieskim kitlu, roz-

siewając wokół woń świeżej żywicy i heblowanego drzewa, co zdradzało jego zawód stolarza.

— Będą panowie musieli z łaski swej chwilę poczekać. — rzekł wesoło.

— Czy ktoś się stąd wyprowadza? — spytał Harry Dickson i, mrugnawszy okiem, dodał: — Powinien żałować, gdyż okolica jest tutaj prześliczna.

— Oczywiście, — przyznał stolarz, zachwycony tą pochwałą.

Był on widocznie bardzo rozmowny, gdyż po chwili podjął znowu:

— Stary Mateusz Subre wyjeżdża i nie martwimy się tym zbytnio, gdyż nie żyje on z nikim w zgodzie, nawet z Caltropami, którzy są tacy mili! Zamiar ten powziął zupełnie nagle i mówią, że to ze zmartwienia, ponieważ ten stary sterowiec zniknął tak nagle, niby czarownica na miotle.

— Ach, prawda, — rzekł obojętnie detektyw, — to właśnie stąd wystartował ten zagadkowy balon!

Stolarz przytaknął:

— Zagadkowy! To prawda, Sir. Od dziesięciu miesięcy nie opuszczał on hangaru a oto nagle odlatuje jak ptak i nie można go odnaleźć! Stary profesor Caltrop „pielegnował” go wprawdzie codziennie, jak chore dziecko, ale nigdy nie wyprowadzał go z hangaru.

W tej chwili Mateusz Subre wyszedł ze swego opustoszałego domu i zamknął drzwi.

— Halo, Monsieur Subre, — zawołał stolarz, — idźcie pan do sąsiadów, aby powiedzieć im „do widzenia”?

Staruszek odwrócił się i odpowiedział grzecznie:

— Nie powiem im „do widzenia”, panie Breckpoole, lecz „żegnam”.

— Jakto, nie zostawi im pan swego adresu, na wypadek, gdyby nadeszło tu jakieś polecenie dla pana? — spytał stolarz z drwiącą miną.

— Wie pan dobrze, że ja nie otrzymuję żadnych listów, panie Breckpoole, odpowiedział starzec tym samym uprzejmym tonem. — I niech pan nie obawia się o komorne. Załatwiłem już tę sprawę z panem Snaggsem, agentem w Orpington. Co do mego przyszłego adresu, możliwe, że będzie on nieco oddalony stąd, a pańskie wiadomości geograficzne są chyba ograniczone.

Wtem spostrzegł obecność dwóch nieznajomych i zaczął się usprawiedliwiać:

— Mój wóz odjedzie za chwilę i droga będzie wolna dla panów. Przykro mi bardzo, że stracił panowie tyle czasu z mego powodu.

Harry Dickson spojrzał na niego uważnie. Iwarz starca nie wydawała mu się zupełnie obca...

— Będzie pan napewno tęsknił za tą miejscowością, panie Subre, — rzekł uprzejmie, — tym bardziej, że mieszka tu pan chyba już dawno.

Mr. Breckpoole pospieszył z odpowiedzią:

— Te domki zostały tu zbudowane przed pięć laty przez Mr. Snaggsa a Monsieur Subre był pierwszym lokatorem, — rzekł.

Mr. Mateusz Subre skłonił się z lekką ironią:

— Tak, a potem przybył tu pan Traddle i pan Traddle, za nimi pułkownik Chadwick, Mr. Bleacher i wreszcie ostatni z sąsiadów, nazwiskiem Stephen Breckpoole! Żegnam was, panowie!

Usiadł na wysokim koźle obok woźnicy i wóz potoczył się, podskakując, po szosie.

— Czym zajmował się ten miły Mr. Subre? — spytał detektyw stolarza.

— Zajmował się? Ależ nie zajmował się niczym, jak zresztą wszyscy mieszkańcy tej wioski, którzy są rentierami. Tylko ja jeden muszę zarabiać



na mój chleb codzienny, przyjmując obstalunki od fabryki mebli w Orpington.

W tej chwili otworzyło się okno na piętrze sąsiedniego domku i rozległ się podniecony głos:

— Breckpoole, ty gaduło, znów prowadzisz jakieś rozmowy, a płot w moim ogrodzie jest jeszcze nienaprawiony!

— Zrobiłem to dziś rano, pułkowniku, — protestował stolarz.

— Ale twoje gadanie i jeszcze jakieś hałasy zakłócały mi drzemkę.

— To monsieur Subre wyprowadzał się, pułkowniku!

— Jak to, ten łotr odjechał?

Harry Dickson ujrzał tęą, czerwoną twarz, która wychyliła się z okna i rzuciła na niego niezyczliwe spojrzenie; na widok samochodu jednak po jawiła się na tej twarzy znów wściekłość.

— Samochód... I to przed moim domem! Precz stąd! A jeżeli przejedziesz którą z moich kur, zastrzeżę cię bez namysłu!

Okno zatrzasnęło się z hałasem.

— Nie jest on uprzejmy, ten pułkownik Chadwick, — rzekł, śmiejąc się, Harry Dickson.

— Uprzejmy? Może pan raczej powiedzieć, że jest okropny, — mruknął Mr. Breckpoole, — na szczęście inni sąsiedzi nie są do niego podobni. Proszę spojrzeć, oto poczciwy Mr. Bleacher idący na lampkę wina do oberży „Pod trzema szczupakami“.

Mężczyzna, gruby jak beczka, wyszedł z jednego z domów i podążył szybko na swoich krótkich nóżkach w stronę Orpington.

— Zdaje mi się, że znamy już teraz wszystkich mieszkańców wioski, — rzekł Harry Dickson, zwracając się do stolarza.

— Przepraszam, — zaprzeczył Tom, — zapamiętałem dobrze słowa pana Subre, zdaje mi się, że w tej uroczej miejscowości mieszka jeszcze przemiłe małżeństwo Traddle.

— Pan i pani Traddle, to nie małżeństwo, — rzekł, śmiejąc się, Breckpoole, — pani Traddle to tylko... rower, ale Mr. Traddle tak się o niego troszczy, jakgdyby to była istota żyjąca. Dlatego też Mr. Bleacher wyraził się w ten sposób.

Nie było już nic ciekawego do powiedzenia na temat mieszkańców wioski i Mr. Breckpoole zapytał na zakończenie, czy panowie udają się do „pałacu“.

— Wczoraj było w pałacu dużo gości, w związku z tą nieszczęsną historią ze sterowcem, ale dzisiaj już stary Caltrop zamknął swoje drzwi dla ciekawskich. Panowie są chyba dziennikarzami?

— Coś w tym rodzaju, — odparł Harry Dickson z uśmiechem, — a ten stary Caltrop wygląda na zupełnie odłudka.

— To prawda, — brzmiała odpowiedź, — zamknął przecież większą część swego pałacu, aby tylko nie utrzymywać służby. Pracuje u niego tylko ogrodnik i kobieta, przychodząca z Orpington na posługę, raz lub dwa razy w tygodniu. Miss Dhelia, jego siostrzenica, zajmuje się gospodarstwem, jest to dziewczę o usposobieniu dość ponurym i nie jest rozmowna.

Wyjął z kieszeni wielki nikłowy zegarek, spojrział i pożegnał się pośpiesznie:

— Można by pomyśleć, że jestem milionerem i nie muszę pracować na utrzymanie, — rzekł, — Życzę szczęścia, panowie i do widzenia!

Auto pomknęło przez zaniedbaną aleję, na krańcu której zarysowywały się dumne kontury zamku.

— Co myślisz o tej wiosce, Tomie? — zapytał nagle mistrz.

— No cóż... sędzę, że ci ludzie nie mają dla nas żadnego znaczenia.

— Kawalerowie, Tomie... żaden z nich nie jest żonaty... wioska kawalerów!

— To ciekawe, oczywiście, ale...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy nagle mistrz zawołał:

— Ach, tak, wiedziałem przecież, że ta twarz nie jest mi obca!

— Czyja twarz, mistrzu? — spytał Tom, zaciekawiony.

— Twarz Mr. Mateusza Subre... cóż to za spotkanie! Ale teraz jest on już z pewnością daleko stąd, ten szczywany lis!

— Kim on jest?

— Ależ to nikt inny, tylko Pat Hunter, jeden z najzręczniejszych włamywaczy, którego policja nigdy nie zdołała schwytać!

## Agent Snaggs

Mr. Caltrop przyjął detektywów w sposób niezwyczajnie uprzejmy. Był to uczony starej daty o różowej, uśmiechniętej twarzy i jasno niebieskich oczach.

Nie wydawał się być bardzo zmartwiony katastrofą „E. 19“, był jedynie zdumiony, że udało mu się sprzedać aparat za tak wysoką cenę.

Po tylu latach bezruchu wyfrunął w powietrze, jak nowy! — mówił z naiwnym zachwytem. — Ale muszę zaznaczyć, że pilnowałem go dobrze i utrzymywałem zawsze motory w porządku.

— Bez niczyjej pomocy? — spytał Harry Dickson.

— Pocóż mi to? Domownicy i służba — to wymaga pieniędzy, a moje doświadczenia kosztowały mnie sporo, poza tym doskonale daje sobie sam radę. Owszem, żal mi trochę mego starego „E. 19“, choć nigdy nie oddawano mi należytych honorów, ale muszę teraz myśleć o mojej starości i o zabezpieczeniu bytu mojej siostrzenicy Dhelii, która całą swoją młodość poświęca staremu wujowi. Zamknijmy ten pałac i jeśli się uda, sprzedamy go jakiemuś amatorowi wiejskiego życia, a sami pojedziemy gdzieś nad morze, aby odetchnąć świeżym powietrzem.

Staruszek umilkł i spojrział na swoich gości z zakłopotaniem:

— Mr. Dickson, — rzekł, — przez pana moja kochana Dhelia czyniła mi wymówki.

— Doprawdy? Ogromnie mi przykro, Mr. Caltrop!

— Kiedy był pan tutaj poprzednim razem, było tu równocześnie wielu dziennikarzy, policjantów i innych, tak, że dopiero po pańskim odejściu powiedziałem siostrzenicy o panu. Była tym bardzo rozżalona:

— Jeżeli jest ktoś, kogo chciałabym teraz widzieć, to jest nim właśnie Harry Dickson, — rzekła. — Trzeba go było zatrzymać nieco dłużej.

— Więc cóż z tego? — zawołał detektyw, śmiejąc się. — Będę bardzo zadowolony z poznania miss Dhelii Caltrop.

— Ona śpi teraz, a ponieważ nie zdarza się jej to często od czasu..., no tak, od czasu pewnego wypadku, o którym ona sama panu opowie, więc zmuszony jestem prosić pana o jeszcze parę chwil cierpliwości. Pozwoli pan szklaneczkę porteri?

— Dziękuję panu, Mr. Caltrop, jeśli pan pozwoli, wolałbym przejść się nieco po okolicy i zaczerpnąć świeżego wiejskiego powietrza; taka okazja nie tafia mi się codziennie, a także memu uczniowi Tomo-



Willsowi. Ale a propos, kim są pańscy sąsiedzi?

— Moi sąsiedzi? — zdziwił się Caltrop.

— Mieszkańcy pobliskiej wioski, oczywiście.

Starzec wzruszył pogardliwie ramionami:

— Myśli pan o mieszkańcach tych domów, zbudowanych przez Snaggsa. Nie znam nikogo z nich, od wielu lat już nie przekroczyłem granic mojej posiadłości. Przed sześciu laty Mr. Snaggs zaproponował mi kupno tych terenów, graniczących z moim parkiem, a ja zgodziłem się, gdyż pieniądze były mi wtedy bardzo potrzebne.

— Mr. Caltrop, — rzekł detektyw, — pan podsunął mi pewną myśl. — Pozostawmy na razie Miss Dnelę, niech odpocznie jeszcze kilka godzin. Ja tymczasem udam się do tego miłego miasteczka, Orpington.

— Spacer ten wart jest trudu, — rzekł starzec, — jeśli wyjdzie pan przez wschodnią granicę mojej posesji, znajdzie pan uroczą drogę przez wzgórze i dojdzie pan prosto do Orpington. Do zobaczenia!

Przez szeroką aleję, wysadzaną wiekowymi drzewami, auto wyjechało z parku Caltropa. Jasne, wrześnie słońce złożyło wierzchołki drzew. W dali widniało Orpington, jak wielki, zielony gród.

— Mr. Snaggs? — spytał policjant, spotkany po drodze, — bardzo łatwo go znaleźć. Pojedzie pan tą ulicą prosto i potem skręci na prawo. Na drzwiach trzeciego, czy czwartego domu będzie tabliczka z napisem: „Snaggs — agent“.

— Jakiego rodzaju sprawy załatwia ten agent? — spytał detektyw.

Policjant spojrział na niego nieufnie:

— Mr. Snaggs mieszka w Orpington dopiero od sześciu lat — rzekł wymiatając.

— Ale wystarczyłoby sześć dni, — wtrącił się jakiś chłopiec, przysłuchujący się rozmowie, — aby wiedzieć, że jest to ciemny typ.

— Chwileczkę, — rzekł Harry Dickson, zwracając się do policjanta, — czy ten pan Snaggs nie jest przypadkiem wysoki, chudy, krótkowzroczny, zawsze czarno ubrany, ze złotymi zębami i...

— Ależ pan go zna, widzę! — zawołał policjant.

— Tak też myślałem! — odpowiedział detektyw, naciskając akcelerator.

— Zdumiewa mnie pan, mistrzu! — mruknął Tom Wills.

— Zdziwisz się jeszcze bardziej, mój chłopcze, gdy ci powiem, że nie liczę na to, że zastanę Mr. Snaggsa w domu, ani na to, że go w ogóle kiedykolwiek znajdę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że Mr. Subre wyjechał, że on jest właśnie Patem Hunterem i że tam, gdzie się znajduje Pat Hunter, musi znajdować się w pobliżu niejaki Jelby, z zawodu agent. Sądzę, że Jelby i Snaggs to jedna osoba. Do licha, musieli, najprawdopodobniej znów zorganizować jakąś aferę.

Detektyw nacisnął dzwonek przy drzwiach.

Otworzył je młody lokaj.

— Mr. Snaggsa nie ma w domu, — rzekł, — wyjechał w podróż. Zapłacił mi za miesiąc z góry i kazał zamknąć dom.

— Wiem o tym — rzekł Harry Dickson, — pisał mi o tym i chciał mi wynająć dom w takim stanie, w jakim on się znajduje obecnie, wraz z meblami. Zdaje mi się, że mnie oczekiwał.

— Spieszył się bardzo, ponieważ z Londynu przyjechało auto, aby go zabrać wraz z bagażem. Ale jeśli pragnie pan obejrzeć dom, to proszę niech pan wejdzie. Uprowadzam pana jednak, że urządzenie nie jest komfortowe.

Lokaj miał rację, dom pana Snaggsa był prymitywnie umeblowany. Jedyne biuro urządzone było wygodniej i Harry Dickson, jakgdyby zmęczony oglądaniem, opadł na fotel, stojący przed biurkiem.

— Jeżeli twój pan nie oczekiwał żadnych gości, na pewno nie troszczył się o to, aby było ich czymś poczęstować, — rzekł, — a ja odczuwam pragnienie.

Lokaj podzielał jego zdanie.

— Masz tutaj dziesięć szylingów, — powiedział detektyw, — przynieś mi whisky i wodę sodową, a resztę zatrzymaj dla siebie.

Lokaj nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać i wzięwszy banknot, wybiegł.

— Tomie, podaj mi szybko kosz do papierów, — rozkazał mistrz, — widzę, że w pośpiechu przed wyjazdem Mr. Snaggs-Jelby zapomniał go opróżnić.

W koszu Tom nie znalazł nic ciekawego, prócz starych prospektów i wyrwanych kartek jakiejś powieści.

— A ten skrawek papieru, zwinięty w kulkę? — spytał Harry Dickson.

Tom Wills wyciągnął kartkę i zaśmiał się pogardliwie:

— Jakieś filozoficzne rozumowania! — rzekł.

— Daj jednak.

Harry Dickson ujrzał skrawek zwykłego listowego papieru, pokryty dużym, kanciastym pismem.

— Chętnie poznałbym autora tych aforyzmów, — rzekł, — posłuchaj tylko:

„Mieć w pogardzie niebezpieczeństwo, jest to zła maska. Lękajcie się braku srebra; bieda, która minęła, powróciła, dobrze było jeszcze wczoraj, zmieniło się już wieczorem. Pewnego dnia możesz osiągnąć wszystko, stawiając na 35. Los na szczyty wień wznosi i zrzuca“.

— Co za głupstwa! — rzekł Tom Wills.

Lokaj powrócił i Harry Dickson spiesznie wsunął kartkę do kieszeni. Opróżnili kilka kieliszków i opuścili dom Mr. Snaggsa.

Gdy wyjechali z miasteczka, Harry Dickson wyjął papier i pokazał go uczniowi.

— Czy nic ci to nie mówi?

— Ot, zwykłe mieszczańskie aforyzmy, dość pompatycznie wyrażone. Trzydzieści pięć prawdopodobnie oznacza numer w ruletce.

— I to wszystko? — spytał Harry Dickson.

— Tak sędzę.

— W tej całej pisaninie jest jedno słowo, które mnie zastanawia, a mianowicie: „niebezpieczeństwo“. Zajmuje ono czwarte miejsce od początku zdania... spróbujmy przeczytać całe pismo w ten sposób: podkreśl co czwarte słowo i czytaj.

Zaledwie Tom zaczął pisać z ust jego wyrwał się okrzyk zdumienia.

— To się rzeczywiście zmienia!...

— Czytaj, Tomie, — powiedział zachęcająco mistrz.

— A więc: „Niebezpieczeństwo! — Maska srebra na powróciła wczoraj wieczorem. — Osiągnąć 35 wież“.

— Ten sam charakter pisma znajduje się w archiwach Scotland Yardu. Nie sędzę, abym się mylił, to jest charakter pisma Pata Huntera. Prawdopodobnie przesłał on tę kartkę przez jakiegoś posłańca, do którego nie miał stuprocentowego zaufania, jeżeli zastosował ten szyfr. Ale Snaggs chyba znał go dobrze.

— Srebrna maska i 35 wież... — mruknął Tom Wills.



Te reklamy przeznaczyliśmy po rewelacyjnej cenie  
6.000 sztuk doskonałych pistoletów-automatów „Grom“.



Fason belgijski Kal. 6-cio  
mm! Repetuje się przed  
każdym strzałem, auto-  
matycznie wyrzuca łuski.  
Huk ogłuszający. Idealna  
obrona przed napadem!  
Wykonanie luksus.: lufa  
pięknie oksydowana, re-  
kojęść kryta lśniącym ba-  
kelitem! Waga 200 gr.  
dług. 10 cm., szer. 5 cm.  
Gwarancja fabryczna na  
5 lat. Cena tylko zł.

6.95. 2 sztuki 13.50. — Setka naboł syst. „Flobert“ zł. 3.65.  
Zabezpiecza od mimowolnego strzału. Wysyłamy na listowne  
zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj: KAZIMIERZ  
KOŁODZIEJCZYK, Warszawa Pl. Napoleona I. skrz. poczt  
802 H D. Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

— Są to rzeczywiście dwa dziwne skojarzenia,  
ale mają chyba bardzo poważne znaczenie. Zosta-  
wimy to na później, Tomie, gdyż widać już pałac Mr.  
Caltropa, tonący w zieleni.

Mr. Caltrop przyjął ich na progu domu, zaciera-  
jąc z zadowoleniem ręce.

— Dhelia woli opowiedzieć wam to osobiście,  
— rzekła.

W salonie, gdzie przyjmowani byli poprzednio  
przez pana domu, detektywi zastali teraz szczupłą,  
młodą dziewczynę o jasno-blond włosach. Czoło jej  
okrywał biały bandaż od którego unosiła się woń  
eteru i jodyny.

Wyciągnęła rękę do Harry Dicksona i uśmiech-  
nęła się. Potem wskazała mu miejsce w starym  
fotelu.

— Przykro mi, że jest pani cierpiąca, — zaczął  
grzecznie Harry Dickson, ale dziewczyna przerwała  
mu gestem.

— Nie mówmy więcej o mnie, Mr. Dickson, pan  
chyba nie lubi pustych słów. Stan mój wymaga ra-  
czej detektywa, a nie lekarza.

Harry Dickson przyglądał jej się uważnie.

— Pani była zraniona?

— Tak i dodam nawet, zraniona podczas zama-  
chu na moje życie. Napad był brutalny i bezsenso-  
wny. Stało się to dokładnie dziesięć dni temu. Za-  
wyczaj spaceruję dwa razy dziennie po parku i za-  
wsze tą samą drogą. Wychodzę z domu i nie do-  
chodząc do hangaru, skręcam w ścieżkę prowadzącą  
przez trawnik i łąkę do sosnowego lasu. Mam słabe  
płuca i balsamiczna woń żywicy dobrze mi służy.  
Tym razem, zaledwie usiadłam na ławce, zostałam  
silnie uderzona w głowę. Ból był dotkliwy, lecz mi-  
mo to nie straciłam przytomności. Dowlokłam się  
do domu i położyłam do łóżka. Nie chciałam nie-  
potrzebnie niepokoić wuja, gdyż miał on dość zmar-  
twień ostatnio. Udawałam silną migrenę, aby móc  
pozostać w pokoju. Ale gdy się położyłam, siły mnie  
opuściły zupełnie.

Dhelia Caltrop zamilkła, oczy jej błyszczały.

— A czy wie pan, kiedy odzyskałam przytom-  
ność, Mr. Dickson? Dopiero wczoraj, gdy odjazd  
i katastrofa „E. 19“ stały się faktem dokonany.

— I wuj nie zawiadomił policji? — zawołał  
Harry Dickson.

— Niech mu pan nie czyni wyrzutów! Mógł on  
wtedy zaledwie zebrać myśli, pocziwy staruszek!  
Widząc, że mam wysoką gorączkę, posłał po naj-  
bliższego lekarza, a raczej po byłego lekarza wojsko-  
wego, nazwiskiem Chadwick. I czy wie pan, jaką  
postawił diagnozę, ten ignorant? Przewrażliwienie  
nerwowe, które wywołało letarg!

— Hm, — mruknął Harry Dickson.

— Tak, Mr. Dickson, to daje wiele do myślenia.  
I to właśnie po odjeździe „E. 19“.

— Czy pani przeciwstawiłaby się temu, Miss  
Caltrop?

— Ależ nie, jestem bardzo szczęśliwa, że ten  
przeklęty balon, który przysporzył memu wujowi  
tyle zmartwień, nareszcie odleciał. Ale zachowanie  
się Mr. Chadwicka bardzo mnie dziwi.

— Pani oskarża więc Chadwicka? — spytał  
Harry Dickson.

— A któżby nie czynił tego na moim miejscu?  
Zresztą według słów mego wuja, któremu dopiero  
wczoraj opowiedziałam o zamachu, nikt oprócz Chad-  
wicka nie zbliżał się do mego łóża podczas trwania  
choroby.

— A wuj pani nie zauważył nic niezwykłego w  
pani stanie?

— Jest on zawsze tak pogrążony w swoich za-  
gadnieniach aerodynamicznych i mechanicznych!

— A więc podtrzymuje podejrzenia pani, Miss  
Caltrop. Jacyś nieznajomi chcieli trzymać panią na  
uboczu podczas pertraktacji, które miały zakończyć  
się sprzedażą sterowca i sądzi pani, że dr. Chadwick  
wziął to na siebie?

— Nie można było tego lepiej wyrazić, Sir.

— Czy nie zna pani bliżej ludzi, zamieszkują-  
cych pobliską wioskę, Miss?

— Nie; może trzy razy przeszłam obok tych  
domków, od czasu, jak istnieją. Jedyńie Chadwick  
przechodził czasem przez nasz park i kłaniał nam  
się z daleka. Raz także stolarz, nazwiskiem Breck-  
poole wykonywał u nas kilka drobnych reperacji.  
Nie zatrudniłam go więcej, gdyż jego rachunki były  
zbyt wygórowane i chciał nas także oszukać na ga-  
tunku drzewa.

— A więc właściwie, Miss Dhelio, nie może nam  
pani nic konkretnego powiedzieć, co dotyczyłoby  
katastrofy E. 19?

— Słusznie, ale proszę nie zapominać, Mr. Dick-  
son, że umysł mój pracuje jasno dopiero od dwudzie-  
stu czterech godzin. Może później pomyślę o tym  
i przypomnę sobie jakieś szczegóły. Nie znam do-  
kładnie prac mego wuja jednak on tyle mi o nich opo-  
wiada, że pewne rzeczy pozostają mi w pamięci.  
Sprzedaż sterowca wydaje mi się bardzo słuszną,  
zwłaszcza za cenę 10.000 funtów, gdyż za tego ro-  
dzaju aparat, jest to suma ogromna. Śmierć załogi,  
taka, jak opowiadają o niej dzienniki jest niezro-  
zumiała, a zniknięcie sterowca, tak powolnego i o  
tak słabych motorach, jest także niepojęte. To chy-  
ba wszystko, co mogę o tym powiedzieć, Mr. Dick-  
son!

— Porozmawiam z dr. Chadwickiem, — rzekł  
Harry Dickson, wstając.

— Niech pan pamięta, że ja nie wnoszę żadnej  
skargi przeciwko niemu; tym niemniej, zapewniam  
pana, że jeżeli kiedykolwiek zobaczę go jeszcze w  
obrębie posiadłości mego wuja, zastrzelę go bez na-  
mysłu, jak deztertera!

### „Trzydzieści pięć wieź“

Południe dawno już minęło. Tom Wills, które-  
go żołądek gwałtownie domagał się swych praw,  
spojrzał z rozpaczą na zegarek, wyjęty z kieszeni  
automobilowego płaszcza. Potem rozejrzał się  
wokoło:

— Nie widać nigdzie żadnych zabudowań, ani  
nawet smugi dymu, która zwiastowałaby jakąś ku-  
chnię.



Nagle ujął mistrza za rękę:

— Co do kuchen, to nie jest ich chyba wiele w naszej wiosce, gdyż tam także nie było widać ani jednego dymiącego komina, a przecież nie sądzę, aby gaz oświetlał i ogrzewał te nędzne domki.

Mistrz w odpowiedzi uśmiechnął się tylko:

— Ta wioska zawiera jeszcze wiele niespodzianek, — mruknął.

Auto potoczyło się zadrzewioną aleją wzdłuż zabudowań.

— Wyglądają one na zupełnie opuszczone, — rzekł Tom Wills, — czyżby wszyscy poszli za przykładem panów Subre'a i Snaggsa?

— Nie byłoby w tym nic dziwnego, — zawołał Harry Dickson zatrzymując się przed domem stolarza, — Hallo, Mr. Breckpoole!

Wołanie jego pozostało bez odpowiedzi, chociaż drzwi były otwarte. Wewnątrz zastali jedynie stosy heblów, narzędzia i liczne deski, świeżo wycięte. Harry Dickson zaśmiał się gorzko:

— Mr. Subre pożegnał się z nami, odważnie i impertynencko, jak to jest w jego zwyczaju; Mr. Bleacher nie mógł jeszcze powrócić z oberży „Pod trzema szczupakami“, jeżeli w ogóle tam się udał, w co wątpię. Mr. Traddle wyjechał gdzieś wraz z „Mrs. Traddle“, gdyż widzę, że rygle na jego drzwiach są zamknięte. Pozostaje dr. Chadwick...

Tom dzwonił z całej siły do jego drzwi.

— Można by tak dzwonić do dnia sądu ostatecznego, — huknął detektyw. — Wejźmy od strony ogrodu.

Przez niski płot dostali się do nędznego ogródka, po czym weszli do wnętrza domu.

— Dziwny panuje tu zapach, — rzekł Tom, — jak gdyby coś się przypaliło.

Woni ta potęgowała się, w miarę, jak szli przez korytarz, a gdy pchnęli drzwi pokoju, który musiał być zapewne gabinetem pracy, cofnęli się, przerażeni.

W głębokim fotelu spoczywały straszliwie zniekształcone zwłoki. Przewycieczając wstret, Harry Dickson podszedł bliżej i uniósł głowę.

— Chadwick, — szepnął.

— Został spalony żywcem, — dodał cicho Tom Wills.

— Porażono go tak silnym prądem, że śmierć nastąpiła natychmiast — wyjaśnił detektyw.

Nagle Tom zawołał:

— Spójrz na te drzwi, mistrzu!

Fotel zmarłego stał przy drzwiach prowadzących na werandę. Na wysokości głowy ludzkiej widniał w nich dziwny otwór.

— Można by powiedzieć, mistrzu, — rzekł Tom, — że jakaś ogromna ręka ognista, przesunęła się przez te drzwi, aby dotknąć głowy nieszczęsnego Chadwicka... Spójrz, poręcz fotela jest także spalona!

— To dziwne, przyznał Harry Dickson. — Jakież tajemniczy dramat rozegrał się tutaj podczas naszej nieobecności?

Przeszukali cały dom, ale spostrzegli jedynie nędzę i prymitywne umeblowanie.

— Zupełnie, jak u Snaggsa, — zauważył Tom Wills.

— Tak, — rzekł mistrz, — a czy przypominasz sobie, jakie ubogie meble ładował Mr. Subre na swój wóz? Sądzę, że znajdziemy to samo u Bleachera i Traddle'a. Można by powiedzieć, że wszyscy oni mieszkali tutaj prowizorycznie, lecz wbrew przewidywaniom, zmuszeni byli do pozostania w tej wiosce dłużej!

— Ale co robili ci dziwni ludzie? — zawołał młodzieniec, — wygląda to, jak gdyby czegoś pilnowali!

— Zdaje mi się, że określiłeś to bardzo trafnie, Tomie, — odpowiedział mistrz, — Pilnowali... lecz czego?

— I do tego było ich pięciu, mieszkali oddzielnie i nie wydawali się zbyt przyjaźnie względem siebie usposobieni! — dodał Tom. — Być może, konkurowali ze sobą!

Harry Dickson przeszukał małą apteczkę i wyjął stamtąd fiolkę z niebieskiego szkła.

— Miss Caltrop miała rację, — rzekł, — oto płyn, który mógł jeszcze przez kilka dni przedłużyć jej letarg. Musimy szybko powrócić do Londynu, Tomie, i powiadomić o wszystkim Scotland Yard.

Pomknęli szosa w stronę stolicy, ale zaledwie ujechali dwa kilometry od wioski, jakiś człowiek wybiegł z arośli i zaczął dawać im rozpaczliwe znaki.

— Toż to Mr. Breckpoole! — zawołał Tom, naciskając hamulec.

Stolarz był brudny, zakurczony, oczy jego błyszczały, oddychał z trudnością:

— Pozwolicie mi pojechać z wami, jeśli nie chcecie mieć śmierci niewinnego człowieka na sumieniu, — jęknął.

— Co się panu stało, Mr. Breckpoole? — spytał Harry Dickson.

— Nie, nie, nie tutaj, zawieźcie mnie do Londynu, tam będę bezpieczny, wśród ludzi, wśród policji! Tu on mógłby powrócić!

— On? O kim pan mówi?

— O tym białym potworze, który patrzył na mnie zza płotu ogrodu w chwili, gdy wychodził od doktora. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego stworzenia! Ogromny... Wysoki, szeroki, świecił się, jak słońce i ta okropna, lśniaca twarz ze srebra z czarnymi, jak noc, oczami! I ręce... ręce... ręce, które dymity! Zbliżył się do mnie, ale szedł wolno. Zaczęłam biec... Opowiem wam jeszcze w Londynie, ale tutaj... ten człowiek ze srebrną głową mógłby wrócić!

— Srebrna maska, — szepnął Tom Wills, — niech pan pomyśli o kartce, znalezionej u Snaggsa, mistrzu!

Detektyw skinął głową.

— Niech pan, Mr. Breckpoole usiądzie za nami w aucie, za pół godziny będziemy w Londynie.

Tom nacisnął akcelerator. Na jakimś zakrecie usłyszeli nagle daleki odgłos strzału.

— Prawda, od wczoraj zaczął się okres polowań, — rzekł młodzieniec. — Mam nadzieję, że Mrs. Crown przygotuje nam wobec tego kuropatwy na obiad!

Gdy ukazały się pierwsze domy przedmieścia Londynu, Harry Dickson odwrócił się do Breckpoole'a:

— Teraz czuje się pan chyba bezpieczny, Breckpoole?

Stolarz siedział z głową opuszczoną, jak gdyby pogrążony we śnie.

— Mr. Breckpoole! Tomie, zatrzymaj wóz!

— Ach — szepnął Harry Dickson, zaciskając pięści, — ten strzał na drodze!...

Mr. Breckpoole nie żył już; w czasie jego tkwiła kula rewolwerowa.

★

W piętnaście dni później, Harry Dickson odrzucił ze złością swój notatnik. Nie było w nim nic ważnego.



## PRAWDZIWA CZARNA I BIAŁA MAGIA

Każdy kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Połykanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Śpiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy różne książki, komplet z 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Adresuj: **Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 HD.**



UWAGA: Bezpłatnie dodajemy najnowsza wszechświatową „Kabałę Indyjską”. Odgadywanie przyszłości. Sztuka wróżenia z kart i rąk.

„Chadwick: były oficer sanitarny, zdymisjonowany za malwersacje. Przed osiedleniem się w wiosce, w okręgu Orpington mieszkał w Londynie. Drobne długi, niemiłe przyzwyczajenia. Jednak nie słyhać o nim od czasu jego wyjazdu na wieś.

Bleacher: przybył do Orpington z Londynu... fałszywy adres i oczywiście, fałszywe papiery. Lubiany w miasteczku, serdeczny, oszczędny. Żył z renty. Źródło dochodów nieznanne.

Traddle: przybyły z Liverpoole'u. Fałszywy adres i fałszywe dokumenty. Rzadko przychodził do miasteczka.

Breckpoole: poczciwy człowiek, mieszkający w Orpington od wielu lat, przeprowadził się na wieś w celach zdrowotnych.

Ogłędziny domów wykazały, jak zresztą przewidywałem, że umeblowanie ich było prymitywne. Poza tym nic ciekawego.

Pałac Caltropów zamknięty. Mr. Caltrop z siostrzenicą wyjechali na kontynent, z zamiarem osiedlenia się na południu. Prosiłem ich o podanie mi adresu, gdzie mógłbym ich w razie potrzeby zastać.

Pałac Grand Trianon — List. — Zniknięcie???

To ostatnie zdanie odnosiło się do następującego wydarzenia: W kilka dni po wyjeździe Caltropa i Dhelii, Harry Dickson otrzymał od prefekta policji paryskiej list, donoszący, iż w hotelu „Grand Trianon” na Montmartrze posługaczka znalazła list, a raczej początek listu, adresowanego do Harry Dicksona. Było tam tylko kilka słów: „Od czasu mego wyjazdu z Orpington jestem bardzo niespokojna z powodu...”

Znaleziono to w pokoju, który zajmowała Miss Dhelia Caltrop. W księdze hotelowej podróży wyjeżdżając wpisali, iż udają się do Dijon do „Hotelu de la Cloche”. Po zasięgnięciu informacji okazało się jednak, że nie było ich ani w hotelu, ani w ogóle w Dijon.

— A więc, — rzekł Tom, — wszyscy znikli, wszyscy w komplecie...

— Tak, — szepnął Harry Dickson ściągając wargi, — pomyśl, że wystarczyło mi tylko wyciągnąć rękę, a miałbym ich wszystkich!... Trzebaby znaleźć choć jednego z nich, tylko jednego, a zapewniam cię, że potrafiłbym zmusić go do mówienia! A teraz oczekujemy wizyty niejakiego pana Jurvisa on zapewne nam coś powie.

— Nie znam go, — rzekł krótko młodzieniec.

— Pan George W. Jurvis jest to urzędnik w Instytucie Kartograficznym Anglii i nie ma w naszym kraju miasta, miasteczka, nawet wioski, której naz-

wy nie znalazby, a na każde pytanie odpowie ci natychmiast bez cienia wahania. Zdaje mi się, że to on właśnie dzwoni teraz do naszych drzwi.

Mr. Jurvis wszedł skłonił się, po czym usiadł na brzegu krzesła i utkwil wzrok w próżni. Czekał, aż zaczną zadawać mu pytania.

— Panie Jurvis, — rzekł Harry Dickson, — czy określenie „trzydzieści pięć wieź” nic panu nie mówi, z punktu widzenia geograficznego?

Gość skłonił się i odpowiedział monotonnym głosem, jakby recytował wyuczoną lekcję:

— Przed trzema wiekami miało to większe znaczenie, niż dzisiaj. Była to skalista wysepka w Hebrydach, prawdziwa twierdza piratów szkockich. Nadano jej nazwę „trzydziestu pięciu wieź”, gdyż dziwnego kształtu skały i rafy wyglądały z daleka, jak wieże. Obecnie jest ona nie zamieszkała, jedynie rybacy od czasu do czasu przybywają tam na połów. Znajdują się tam jeszcze ruiny zamku piratów. Wyspa ta nazywa się teraz inaczej. Mieszkańcy Hebrydów nadali jej nazwę „Booh-Gran”, co w ich języku znaczy po prostu „przeklęta”. Żaden statek nie kursuje pomiędzy wybrzeżem a wyspą.

— A jaki jest najbliższy port rybacki, gdzie można wynająć wygodną barcę?

— Storneway, port węglowy, — padła lakoniczna odpowiedź.

— Dziękuję panu, Mr. Jurvis!

Ale urzędnik Instytutu Kartograficznego nie zdradzał jeszcze ochoty do odejścia, widać było, że jest bardzo zakłopotany.

— Ja... nie chciałbym... mówić... niepytany, — rzekł z trudnością.

Napół — zdziwiony, napół — ubawiony, detektyw spojrział na niego:

— Pragnie pan więc jeszcze coś mi powiedzieć, Mr. Jurvis?

— Tak, Sir.

— O wyspie Booh-Gran?

— Tak... Nie... Pan nie zadaje pytania, na które czekam... Pytał mnie pan o wyspę „35 wieź”, więc powiedziałem, ale nie tylko panu!

Harry Dickson drgnął:

— Czy ktoś jeszcze zadawał panu to samo pytanie?

pytanie?

— Tak, Sir.

— Kto to był?

— Nie umiałbym tego określić, może to wogóle nie był „ktoś”... Było to przed trzema dniami, około północy... Jestem kawalerem, mieszkam samotnie, zajmuję pokój na piątym piętrze, to znaczy na najwyższym...

— Którędy ten człowiek wszedł?

— Wszedł? Człowiek? Przecież nie powiedziałem, że to był człowiek! Zrobił on dziurę w suficie!

— Do licha, to oryginalne metody! W jaki sposób pan się zbudził?

— Deszcz padał mi na głowę. Ujrzałem otwór w suficie a w nim coś bardzo świecącego. Potem ktoś zadał mi pytanie, które pan zna i odpowiedziałem tak, jak panu.

— Co stało się później, gdy już pan odpowiedział?

— Jakieś jakgdyby wielkie, błyszczące ramie przesunęło się przez otwór, przez chwilę czułem dotknięcie czegoś zimnego i metalicznego na twarzy, poczym wszystko znikło.

— I nie powiedział pan nikomu o tej przygodzie?



— Nie. Musiałbym zbyt wiele mówić, a to mnie męczy.

Tym razem Mr. George W. Jurvis powiedział wszystko i śpiesznie pożegnał się.

— Oto historia z tysiąca i jednej nocy! — zawołał Tom.

— Mr. Jurvis miał szczęście, — rzekł Harry Dickson, — nie wiem doprawdy, jakim cudem nie znaleziono go w takim stanie, jak Chadwicka... Jurvisowi bowiem złożył wizytę człowiek w srebrnej masce.

— Kim on jest? — zawołał Tom.

Ale mistrz nie odpowiadał, twarz jego spoczęła i młodzieniec ujrzał cień niepokoju w jego oczach.

## Spotkanie z człowiekiem w srebrnej masce

Zamek Cornwick, położony na północnym brzegu rzeki Clyde padł pastwą płomieni. To stare zamczysko stało w miejscu zupełnie odosobnionym i tak daleko od wszelkich ośrodków mieszkalnych, że zanim zdołano zorganizować pomoc, cały budynek stał w płomieniach. Istnieje obawa, że mieszkańcy jego znaleźli śmierć w żywiele, gdyż nie udało się odnaleźć ani jednego z nich. Sir Gregory Cornwick mieszkał stale w swoim pałacu w towarzystwie jedynie trzech lub czterech służących. Miał on opinię dziwaka. On to przecież zamienił cały swój płynny majątek na sztaby złota i ukrył je tajemniczo w podziemiach swego pałacu! Rozpoczęto poszukiwania ich. Bliższych szczegółów narazie brak.

Harry Dickson przeczytał raz jeszcze to krótkie doniesienie w porannym dzienniku, który kupił na stacji w Glasgow. Miał zamiar właśnie wsiąść do pociągu, idącego do Glasgow, ale to, co przeczytał, zainteresowało go. Zmienił plan; wynajął samochód, aby udać się do Cornwick.

Tomowi, który pytał o wyjaśnienie, odpowiedział:

— Jeżeli Cornwick było portem, lub chociażby przystanią, byłoby to wymarzone miejsce, aby stąd udać się na wyspę Booh-Gram, najkrótszą drogą.

W każdym razie mamy zamiar odnaleźć Pata Huntera i Jelby'ego na wyspie „Trzydziestu pięciu wież” — rzekł Tom.

— Zapominasz o srebrnej masce, — odparł detektyw — i o jego zyczą, aby nie po sobie nie zostawiać żyjącego, choć nie rozumiem, przez jaką pomyłkę udało się Mr. Jurvisowi zachować życie. Nie dawałbym też głowy za ocalenie Huntera i Jelby'ego, gdybym nie znał inteligencji tego diabła Huntera!

Auto jechało szybko, po chwili jednak szofer podniósł rękę i ukazał wysoki słup dymu na tle szarego nieba.

— Ostatnie płomienie z Cornwick, — rzekł.

O milę przed sobą ujrzeni duże auto, pełne pasażerów, jadące im naprzeciw.

— Policja z Glasgow już spełniła swój obowiązek. — zadrwił szofer. — Oczywiście, ta miejscowość nie jest teraz przyjemna i wygodna, aby tam pozostać dłużej!

Auto zatrzymało się, ale w jednym z policjantów Harry Dickson rozpoznał znajomego.

— To pan, Mac Tavish? — zawołał detektyw. — Jąde właśnie, aby obejrzeć to wszystko.

— Jeżeli jedzie pan w sprawie sztab złotych, to musi pan się uzbroić w trochę cierpliwości, Mr.

Dickson, gdyż piwnice zawałone są zgliszczami. Panuje tam temperatura istic piekielna... To niesłychane, ale żelazo leje się tam, jak woda... Życzę szczęścia, Mr. Dickson, do widzenia!

Auto policyjne ruszyło i znikło w tumanie kurzu. Szybko zapadał zmierzch.

Detektywi wysiedli z auta i z wolna zaczęli obchodzić zamek dookoła.

— Nasz szofer miał rację, — rzekł wkońcu Harry Dickson, — nie jest to miejsce przyjemne, gdy się tu pozostanie samemu; idź więc, Tomie i dotrzyмай mu towarzystwa.

— Jakto?... A pan pozostanie sam w tym piekle? — zaprotestował młodzieniec.

— Być może, będziesz mi bardziej potrzebny nazewnątrz, niż wewnątrz, — odparł mistrz. — Prawdopodobnie nie ma tutaj nikogo, ale mógłby ktoś przyjść z zewnątrz i musisz dlatego pilnować.

Tom zrozumiał i zająwszy posterunek za występem muru, pozostawił mistrza na łaskę losu.

Harry Dickson szybko zdał sobie sprawę, że Mc Tavish nie przesadzał, mówiąc, że dostęp do ruin jest niemożliwy. Bił od nich żar nie do zniesienia. Zastanawiał się właśnie, czy nie zrezygnować ze swego projektu przeszukania pałacu, gdy nagle dosłyszał odgłos toczących się kamieni.

Powtarzał się on w różnych odstępach czasu i to nasunęło detektywowi myśl, że musi tam ktoś być. Słuchał uważnie przez kilka minut i wreszcie zorientował się, skąd odgłos ten pochodzi. Idąc w tym kierunku, odnalazł podziemny korytarz, do którego wejście zakryte było zręczn'e gruzami i starymi deskami. Schodki, wykute w skale, świadczyły, że znajduje się w podziemiach pałacu Cornwick.

Detektyw szedł ciemnym korytarzem, zbliżając się coraz bardziej do źródła hałasu. Powietrze było tu duszne i gorące, ale pożar najwidoczniej nie ogarnął tej części zamku, gdyż nigdzie nie widać było ani śladu gruzów, czy popiołów. Wreszcie ukazało się światło.

Paliło się ono w obszernej piwnicy, której sklepienie podtrzymywały potężne kolumny z niebieskiego kamienia. Jedna jej część była wyłobiona w skale, druga zbudowana była z gładkich kamiennych kafli.

Harry Dickson ujrzał stajenna latarke, stojąca obok ściany, noszącej ślady żłobienia. Nie widać jednak było żadnego człowieka, hałas zaś już przedtem umilkł. Po krótkim namyśle detektyw postanowił zbliżyć się do tej ściany, gdy nagle zatrzymał się, zdjęty zdumieniem i przerażeniem.

Jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu, ręka, która wysunęła się z za kamiennej kolumny.

— Stój spokojnie, Dickson, — rzekł stłumiony głos, — niebezpieczeństwo jest straszliwe.

Detektyw drgnął; poznał ten głos.

— Hunter, — szepnął.

— Tak, to ja; wejdź tu za kolumnę i stań przy mnie bez ruchu. Być może, uda nam się uratować życie...

— Co to jest?

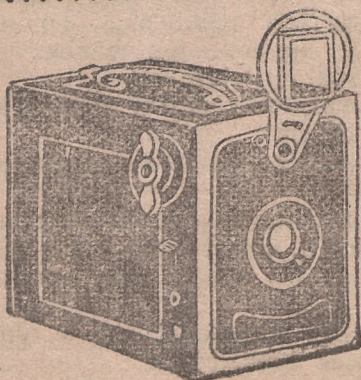
— Nie mogę ci wyjaśnić, nie wiem zresztą zbyt wiele, ale to jest okropne.

Między latarke a ścianę wsunął się nagle jakiś cień i Harry Dickson poznał figurę Mr. Bleachera.

— Ten jest stracony, — szepnął Hunter, — i nie czyni nic, aby go ocalić, bo to niemożliwe.

Bleacher wydawał się silnie zdenerwowany. Nie myślał już o podjęciu przerwanej pracy, lecz gorączkowo ładował duży automatyczny rewolwer.





## APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord”, efektywnie wykonany, wysyłamy łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za zł. 8,95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona 1.  
skr. poczt. 802 H. D.

— Mógłby równie dobrze bronić się proca, — zadrwił Hunter, — przeciw temu, czego oczekuje i co przyjdzie. Posłuchaj!

Jakiś dźwięk odezwał się w podziemiu, odgłos kroków, powolnych i nieustępliwych, napełniających atmosferę niepokojem i przerażeniem.

Bleacher z podniesionym rewolwerem stał, zwrócony twarzą ku ciemnej otchłani korytarza, którą nieco oświetlał blask jego lampki. Nagle uniósł dłoń wyżej i wycelował.

Rozległy się trzy strzały i Pat Hunter zaśmiał się szyderczo.

— A co, czy nie mówiłem?

Kroki rozbrzmiewały ciągle, coraz bliższe i nagle potwór pojawił się w kręgu światła.

W pierwszej chwili Harry Dickson pomyślał, że źle widzi. Potwór był niezgrabny, śmieszny, wyglądał, jak źle ulepiony bałwan ze śniegu. Tułów był okrągły, jak beczka i spoczywał na krótkich nóżkach, długie ramiona zwisały beładnie, a korpus zakończony był okrągłą nie wielką główką. Wyglądał, jakby zrobiony był ze zwykłej blachy, jedynie część, która miała wyobrażać twarz lśniła jaśniej i wyglądała, jak odlana z czystego srebra.

Bleacher stał nieruchomo przed potworem, jak zahipnotyzowany. Wreszcie, pomimo widocznego przerażenia, podniósł dłoń i wystrzelił trzykrotnie. Potwór nie drgnął nawet. Kule odbiły się od niego i wtedy dopiero podniósł długie ramie.

Uczynił to bardzo szybko i dotknął lekko głowy Bleachera.

Stało się to w oka mgnieniu. Ciało mężczyzny skręciło się, zadymiło i runęło na ziemię. Wtedy potwór w srebrnej masce odwrócił się i druga ręka dotknął ściany.

Harry Dickson poczuł nagle, że Hunter chwycił go za kołnierz i pociągnął za sobą. Był już najwyższy czas. Oślepiające światło zabłysło w podziemiu, poczem rozległa się silna detonacja. Za plecami detektywa i jego towarzysza padały skały i grudy ziemi, a gdy wydostali się na powierzchnię, za nimi buchały kłęby dymu, jak z wulkanu.

— Hunter, — rzekł Harry Dickson, — zawdzięczę ci życie.

— Mężczyzna obejrzał się za siebie niespokojnie:

— Nie jest to miejsce odpowiednie do rozmowy. — odparł, — przypuszczam, że tu w pobliżu znajduje się pański samochód, może więc będzie pan tak uprzejmy i zabierze mnie z sobą do Glasgow.

— A więc, Pat, — rzekł Harry Dickson, gdy auto ruszyło, — czy to jest ten człowiek w srebrnej

masce, przed którym Snaggs i ty uciekliście z Orpington?

— Zupełnie słusznie. Wolelibyśmy odejść i ustąpić mu miejsca.

— Kim on jest?

— Człowiek o srebrnym obliczu? — Pat Hunter miał minę zdziwioną. — Ależ ja nie wiem! Może maszyna, może człowiek, a może upiór we własnej osobie?...

— Co słychać na wyspie Trzydziestu pięciu wież?

Pat Hunter roześmiał się:

— Mogę to panu wytłumaczyć, Dickson. Ta wysepka służyła mi zawsze za schronienie, gdy policja zaczynała zbyt mocno interesować się moją osobą. Lecz ta bestia, daleko straszniejsza od policji wystraszyła nas stamtąd, biednego Snaggsa, a raczej Jelby'ego i mnie.

— Gdzie jest Jelby?

— Tam, gdzie Bleacher, zginął on w taki sam sposób. Ach, Dickson, gdybyś wiedział, jak nasza twierdza na Wyspie Trzydziestu Pięciu Wież jest urządzona! Mogę tam uciec i będę zupełnie sam. Lecz sam z pewnym rachunkiem, który muszę pewnego dnia uregulować!

— Człowiekowi w srebrnej masce?

— Być może.

— Jeszcze jedno pytanie, Pat, co robiłeś przez pięć lat w wiosce blisko Orpingtonu?

— Żałuję bardzo, Dickson, ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, jest to tajemnica zawodowa.

— Tak właśnie myślałem, — rzekł poważnie detektyw, — od chwili, gdy przypomniałem sobie, kim był w rzeczywistości nieszczęsny Bleacher. Nazywał się Rorsch, król włamywaczy niemieckich. Mieszkał w Orpington pięć lat tak, jak ty, i przypuszczam, że dążyliście do jednego celu, prawda?

— Pańskie przypuszczenia są zawsze zgodne z prawdą, — odparł grzecznie przestępca.

— Nie chciałbym cię więcej pytać, — ciągnął dalej Harry Dickson, — ale jedno nazwisko mnie dreczy. Pat Hunter, powiedz mi, kim jest Traddle? Hunter westchnął:

— Pierwszy raz w życiu zdarza mi się, abym pomagał policji, — rzekł, — ale w tym wypadku, mogę do pewnego stopnia odstąpić od mych zasad. Prawdziwe nazwisko Traddla brzmi Heberstein, doktor Heberstein, jeden z najwybitniejszych uczonych zagranicznych, którzy znaleźli w Anglii przytułek. Mieszka on w małym domku przy Riwan Road. Jest to człowiek, który nie bawi się w ceregiele. Zabije pana, jak psa, gdy się przekonasz, że wchodzi mu pan w drogę.



## Złoty deszcz

Mr. Prettybingle, który w miłym miasteczku Shoreham uprawia zawód murarza, oraz jego ziomek, Mr. Nicholls, aptekarz, byli kuzynami. Z tej to przyczyny obaj zaproszeni byli na uroczystość weselną, która odbywała się w miejscowości Broughton. Zabawa przeciągała się, gdy więc panowie Prettybingle i Nicholls ruszyli w drogę powrotną, był już świt.

Pogoda była piękna, na niebie lśniły jeszcze ostatnie gwiazdy. Kuzynowie szli różnym krokiem przed siebie. Po pewnym czasie znaleźli się na łąkach Halsted. Były to łagodne wzniesienia w terenie, widok stąd rozciągał się aż do Orpington.

— Piękna miejscowość, — rzekł murarz, zatrzymując się na szczycie wzgórza. — Teraz nie wiadać jeszcze wszystkiego, ale w dzień...

Jego kuzyn, aptekarz, podzielał ten zachwyt.

— Ej, — zawołał nagle Mr. Prettybingle, — słyszałem strzał, odkąd to połyje się na łąkach Halstedu?

— To doprawdy dziwna, — odpowiedział Mr. Nicholls, — gdyż nigdy nie było tutaj nawet zajęcy ani królików!

— Znowu! — zawołał jego kuzyn, — i teraz trzeci raz! Założyłbym się, że to huk szrapneli!

— Strzały zbliżają się! — zawołał Mr. Nicholls. — Uwaga... padnij!

Strzały gwizdnęły im koło uszu.

Dwaj nocni wędrowcy leżeli na ziemi, ale z ciekawości spoglądali na ciemne niebo nad sobą.

— Spójrz tam! — krzyknął nagle Mr. Prettybingle, widząc szybkie światła, zapalające się i gasnące na horyzoncie. — Do licha, wygląda to, jak gdyby ostrzeliwano samoloty!

— Państwo nie zaprzestają wprawdzie nigdy tego rodzaju ćwiczeń, — mruknął Mr. Nicholls, — lecz nie robiło tego nigdy w okolicach zamieszkałych, jak tutaj. Czy słyszysz warkot samolotu, kuzynie?

Napróżno jednak nadstawiał uszu, żaden szum nie dochodził. Za to ciągle słyszeli nowe salwy.

Ziemia drżała wokół nich. Po chwili zaczęły z nieba spadać jakieś ciężary, których nie mogli dojrzeć w ciemności, ale które czyniły wielki hałas.

Prettybingle i Nicholls leżeli nieruchomo na ziemi przez pół godziny, wreszcie gdy wszystkie hałasy umilkły, wstali i poszli ostrożnie naprzód. Wtedy odkryli głębokie wyrwy w ziemi, w miejscach, gdzie musiały upaść tajemnicze przedmioty.

— Nie ryzykujmy i nie zaglądamy tu, — poradził aptekarz, — kto wie, czy to nie są pociski, które nie wypaliły? Najlepiej uprzedźmy zaraz burmistrza Shoreham.

O świcie burmistrz zgodził się wreszcie pójść z nimi, mruknawszy kilka słów niedowierzania.

I wtedy znaleziono w głębi wyrw złote sztaby ułożone w piramidę, tak, jak przechowuje się je w Banku Angielskim.

Było ich jedenaście...

★

Burmistrz Shoreham doniósł natychmiast o zdarzeniu do Londynu. Po kilku godzinach przybył na miejsce specjalny kurier, który zabrał tajemnicze skarby oraz przywiózł dla burmistrza polecenie aby zachował w całej sprawie absolutną dyskrecję.

Po południu tegoż dnia przyjechało dwóch gentlemanów o zmęczonych twarzach, którzy przesłu-

chali dokładnie dwóch jedynych świadków nocnego zajścia, poczem wsiedli w samochód i pełnym gazem odjechali w kierunku Orpington.

— Zatrzymaj auto przed domem Traddle'a! — rozkazał Harry Dickson.

Z łatwością otworzyli drzwi wytrychem i detektyw pobiegł na strych.

— Dużo tu powietrza, — rzekł szyderczo Harry Dickson, podniósłszy klapę w podłodze, przez którą prowadziło wejście na poddasze.

— Tak, ale... — zawołał młodzieniec, — część dachu jest uszkodzona!

— Wyrzyj więc przez ten otwór i spójrz, jaki stąd roztacza się widok! — powiedział mistrz.

— Łąki Halstedu leżą prosto przed nami!

Harry Dickson leżał na podłodze i obserwował uważnie cztery otworki umieszczone, każdy w jednym rogu kwadratu o czterech stopach powierzchni.

— Niezwykły jest ten Traddle, — rzekł półgłosem, — i rozporządza zdumiewającymi maszynami!

— Och! — zawołał Tom, — tu na ziemi stała armatka przeciwlotnicza!

Detektyw roześmiał się:

— Armatka na podłodze, chłopcze! Nie, tylko katapulta o rzadko spotykanej sile, zupełnie nieznaną angielskiej wiedzy batalistycznej. Zresztą armatka narobiłaby wiele hałasu, a tego rodzaju aparat zachowuje się dość spokojnie.

— Zastanawiam się do jakiego celu on mógł strzelać, — mruknął Tom.

— Chłopcze... do „E. 19“, u licha, a najlepsze w całej sprawie jest to, że go trafił!

— Co pan wie o tym? — odparł Tom, zły, że nie rozumiał.

— Wiem, że musiał on wyrzucić balast, aby wznieść się na dużą wysokość i uciec, a jakież to był balast. Złote sztaby, zrabowane z zamku Gornwick!

— Ależ my zaledwie zdołaliśmy stamtąd uciec!

— I z pewnością inni także, mój drogi, — odpowiedział Dickson, śmiejąc się. — Ach, Tomie, jakież olbrzymi krok naprzód zrobiliśmy!

— Niech pan nie zapomina, mistrzu, że ci dwaj gentlemani z Shoreham nie słyszeli najmniejszego dźwięku motoru!

— W tym właśnie sęk, Tomie... to musimy zrozumieć. Znalazłem rozwiązanie tajemnicy w ogólnych zarysach, brak mi jeszcze szczegółów. Musimy dalej prowadzić tę walkę, walkę mózgow.

★

Tegoż jeszcze dnia Harry Dickson otrzymał ze Scotland Yardu następującą notatkę:

„Rowan Street, staroświecki, mały domek; mieszka w nim doktor Heberstein, uczony rosyjski, wydalony z Rosji po przewrocie. Dom otoczony jest ogródkiem i wysokim murem. Heberstein jest człowiekiem zamożnym spokojnym, daje wiele na cele dobroczynne. Najważniejsze jego prace: o roślinności w Europie, o grzybach i o pewnych chorobach drzew“.

— Siadaj do kierownicy, chłopcze, — rzekł detektyw, biorąc palto i kapelusz.

Jechali w stronę Rowan Street. Pogoda była piękna, a mimo to Harry Dickson jechał z sercem ściśniętym. Miał złe przeczucia.

Nagle jakiś krzyk przerażenia rozległ się wokół nich.



Oślepiające światło rozbłysło między niebem a ziemią, poczym rozległy się liczne detonacje. Ludzie biegli ulicami w popłochu. Od strony Rowan Road wznosił się prawdziwy wulkan płomieni.

Auto nie mogło przedostać się przez tłumy. Detektywi wyskoczyli więc i pobiegli szybko, rozpychając się łokciami.

Samotny dom przy Rowan Road stał w płomieniach. Nadjeżdżała straż ogniowa, policja tworzyła kordon. Harry Dickson dopadł do szefa brygady:

— Morrison! — zawołał. — Muszę za wszelką cenę zrewidować ten dom! Niech któryś z twoich ludzi szybko da mi ubranie azbestowe.

Pośpiesznie wdział ubranie i nie słuchając przestrogi Morrisona, przeskoczył przez nawpół rozwalony mur i pobiegł w kierunku płonącego domu.

Poprzez kłęby dymu i płomieni ujrzał przed sobą wejście do piwnicy. To dodało mu odwagi: zobaczył cementowe, grube ściany.

— Schron przeciwbombowy! — zawołał. — Heberstein był człowiekiem przezornym i przewidującym!... Do piórna!

## PALACZE TYTONIU RATUJcie ZDROWIE NIKOTYNA ZATRUWA ORGANIZM



Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3 godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wieczny papieros „Ideal“, a ochronicie swe zdrowie przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „Ideal“ daje możliwość zaciągania się i oddziaływa zbawienne na błonę śluzową nosa i gardła. „Ideal“ wzmacnia i krzepi organizm, dając zadowolenie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziękczynnych! — Cena zł. 2,45. Płaci się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest zapóźno! Straconego zdrowia nie odzyskacie za żadną cenę! Płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I. Pl. Napoleona skr. pocz. 802 HD.

Okrzyk ten wydał, potknąwszy się o jakieś ciało, leżące na ziemi.

Nie, doktor Heberstein nie zdażył schronić się do piwnicy, gdzie byłby może ocalał życie. Leżał na schodach z roztrzaskaną czaszką.

Błękitne płomyki tańczyły wokół detektywa. Zaciśnął zęby. Czy ma ratować się ucieczką, nie wyciągnąwszy żadnej korzyści ze swego szaleńczego czynu? Nie...

Jedna z pięści zmarłego była kurczowo zaciśnięta i detektyw wyjął z niej mały notes. Był już najwyższy czas. Jedna ze ścian runęła nagle i pokryła zwłoki doktora Hebersteina stosem tłących się gruzów...

— Dość na dzisiaj, — zawołał Tom, ujrzawszy mistrza. Niemal przemocą wsadził go do auta i zapuścił motor.

Harry Dickson trzymał w ręku notes, wyjęty z dłoni zmarłego i wolno potrząsał głową:

— Sądzę, że ten adres pisał Heberstein, czyli Traddle, w wyniku rozmowy telefonicznej, — rzekł w zamyśleniu.

— Jaki adres? — spytał Tom.

— Blackheat Road 14. Pod tym, na marginesie znajdują się inicjały: D. i J. Dhelia i Jeremiasz: imiona Caltropów!

— Dokąd teraz pojedziemy? — zapytał młodzieniec.

— A gdzieżby, jak nie na Blackheath Road 14, — odpowiedział detektyw.

Był to ponury, niezamieszkały, nawpół rozwalony budynek, który, jak głosił napis, był do wynajęcia. Otworzyli bez trudu drzwi. Uderzył w nich dziwny zapach i Harry Dickson zbladł.

W jednym z pokoi na parterze znaleźli zwłoki profesora Caltropa i Miss Dhelli. Wszyscy więc ludzie, którzy mieli coś wspólnego ze sprawą „E. 19“, nie żyli już. Tom Wills wypowiedział tę uwagę głośno. Nagle przypomniał sobie:

— A Pat Hunter?

Harry Dickson zasepił się:

— Czyżbym się tak bardzo pomylił co do Pata Huntera? — szepnął.

## Tragiczne wyjaśnienie

Mijały dni, tygodnie, potem miesiące. Cała sprawa utknęła na martwym punkcie. Harry Dickson przechodził mękę. Sprawa, której się podjął, nie została wyświetlona... Co za wstyd, jaka tortura dla jego ambicji! Czasami uczeń jego ośmielał się mówić o Hunterze:

— Pomylił się pan co do niego. Jednak okazał się on zwykłym złodziejem!

— Zwykłym? — protestował Harry Dickson. — Kto to powiedział? Uczynił on ze złodziejstwa sztukę, wymagającą dużej inteligencji. Często zwracał swój łup ofierze, jedynie po to, aby uczynić coś trudnego i śmiałego. Ten notoryczny złodziej, mający niezliczone przestępstwa na sumieniu, nie siedział nigdy nawet godziny w areszcie! Zresztą policja nic o nim nie wie, zna tylko jego nazwisko.

— Wszyscy mieszkańcy wioski obok Orpingtonu mieli fałszywe nazwiska, z wyjątkiem jednego Breckpoole'a! — odparł Tom.

— Tak, powiesz mi, że to daje pole do przypuszczeń, a ja twierdzę, że to je bardzo ogranicza. Wszyscy ci ludzie żyli tam, dążąc do jednego celu, ciągle obawiając się siebie nawzajem, marząc o zwycięstwie nad innymi.

— A czy pan zna ten cel?

— Oczywiście — odparł sucho Harry Dickson, dając tym do zrozumienia, że kończy tę nieprzyjemną dla siebie rozmowę.

Minał rok.

Pewnego jesiennego dnia detektyw siedział, jak zwykle przy kominku, przeglądając dzienniki wieczorne. Nagle zerwał się i rzucił gazetę na podłogę z gestem ogromnej radości:

— Nareszcie!

— Co nareszcie? — spytał zdumiony Tom.

— Wiadomości od Pata Huntera! Masz, czytaj!

„Od trzech miesięcy Sir Maple Sanderton, znany dziwak, mieszka w posiadłości Radcliff, niedaleko rzeki Clyde. Nazwano tego ekscentryka „Złotym Robinsonem“. Wiadomo, że Sir Sanderton jest właścicielem ogromnych włości w Australii i że zrobił wielki majątek na tych złotodajnych terenach. Miłość do złotego metalu uczyniła zeń mizantropa. Przez wiele lat mieszkał ze swym skarbem w wielkim pałacu w Melbourne i umiał się bronić, gdyż piętnastu włamywaczy, zwabionych jego bogactwem, znalazło śmierć w swych wyprawach. Sir Sanderton z pewnością przekształcił pałac Radcliff w wielki skarbiec i będzie tam bronił swego



majątku równie skutecznie, jak w Melbourne“.

— I cóż, Tomie? — rzekł mistrz, zacierając ręce. — Czy rozumiesz? To wezwanie Huntera! Samotny pałac, jak gdyby niezamieszkały, skarb w złotych sztabach — przecież to drugie, powiększone wydanie zamku w Gornwick!

— Ach — szepnął Tom oszolomiony — więc pan sądzi, że...

— Ze Hunter jest niezwykłym typem, co do którego nie mogłem się omylić! A teraz zatelefonuj na lotnisko w Croydon i kaź zarezerwować dwa miejsca w najbliższym samolocie, odlatującym do Glasgow.

Resztę nocy detektywi spędzili w samolocie i wreszcie nad ranem znaleźli się na lotnisku. Piesz ruszyli stąd w stronę posiadłości Radcliff. Po dość uciążliwym marszu przybyli na miejsce.

Zamek ten był daleko mniej okazały niż Gornwick. Mieszkał tu mniej zamożni arystokraci, a potomkowie ich, biedni, jak myszy kościelne, byli szczęśliwi, że mogą zamek wynająć.

Z zewnątrz nie widać było żadnego znaku życia.

— Drzwi są otwarte, Tomie — zauważył Dickson — a więc jesteśmy oczekiwani.

Weszli do wnętrza domu. Hall był ciemny, wiatr hulał tu swobodnie, lecz przez szparę w drzwiach przebijała smuga światła.

— Proszę wejść! — zawołał serdecznie jakiś głos, gdy się zbliżyli.

Pat Hunter, jeszcze bardziej chudy i postarzały, stał przed kominkiem, na którym płonął jasny, ogień i grzał swoje drobne, suche dłonie.

— Doskonale, Dickson — rzekł — ot się nazywa zrozumieć! Jesteście chyba głodni, ale mogę was poczęstować jedynie konserwami. Wyjeżdżam stąd zresztą jutro!

— Jakto, jutro? — zawołał Tom. — Przecież dopiero pan tu zamieszkał.

— To wystarczy, młodzieńcze. Już czas, aby to się skończyło. Jestem stary i mam prawo do odpoczynku. Od jutra zamieszkać w prześlicznym miasteczku w Kornwalii, nad brzegiem morza. Jeśli mnie tam odwiedzicie, przyjmę was wystawniej, niż tutaj.

Postawił na stole doskonale konserwy, flaszkę wina i whisky. Wszyscy zasiedli do posiłku.

— Dickson — rzekł Hunter po dłuższym milczeniu — miałeś rację.

— Rację? Przecież nic jeszcze nie powiedziałem!

— To nic, obserwowałem, raz z bliska, raz z daleka, to, co niewtajemniczeni mogliby nazwać twoim śledztwem daremnym i bez rezultatu. Przeciwnie uzyskałeś najlepszy, możliwy rezultat. Orpington, wioska, tej mieszkańcy, „E. 19“, to wszystko nie przedstawia już dla ciebie tajemnic. Czekasz tylko jeszcze na jedno wyjaśnienie: ode mnie, gdyż ja jeden mogę ci go udzielić.

— Słusznie — rzekł detektyw — wiem o tym...

Pat Hunter uśmiechnął się:

— Jeden błąd, Dickson, jeden jedyny...

— Ach — rzekł w zamyśleniu detektyw — wiedziałem, że gdzieś musi on tkwić!

— To wybaczalne, gdyż nie znałeś początku tej całej sprawy.

Wstał.

— Chciałbym wam coś pokazać.

Poprowadził ich schodami do podziemia. Ujrzeni przed sobą długą ścianę obitą blachą.

— Nie do wiary — mówił Hunter — jak uważają ludzie czytają gazety. Najlepszy dowód, że miałem już dziś jedną wizytę przed wami. Chcę wam właśnie pokazać mego gościa.

— W piwnicy?

Pat Hunter spoważniał:

— Ciszej — szepnął — starajcie się robić jak najmniej hałasu.

Stanął przy ścianie i w milczeniu wskazał detektywom, aby go naśadowali. Ujrzeni wtedy kilka małych otworów w murze na wysokości oczu, tak, że można było widzieć, co działo się po drugiej stronie.

W pierwszej chwili spostrzegli tylko źle oświetloną piwnicę, podobną do tej, w której się znajdowali, lecz nagle Harry Dickson drgnął.

— Człowiek w srebrnej masce! — wyszeptał.

Lecz już Pat Hunter wyprowadził ich z podziemia.

— Przypuszczam — rzekł, gdy znaleźli się znów w salonie — że stworzenie to, pogrążone teraz w uśpieniu, zbudzi się między dziewiątą a dziesiątą wieczorem. A teraz pokażę wam dwa arcydzieła techniki.

Podszedł do kominka i odsunął jedną z marmurowych płyt. Ukazał się mały przedmiot, zaopatrzone w rurkę.

— Peryskop! — zawołał Tom Wills.

— Tak, a co widzisz w polu widzenia?

— Ależ to jest ta sala podziemna z b'aszanymi ścianami!

— Drugą niespodziankę — rzekł Hunter — pokażę wam dopiero wieczorem. Tak, dzisiaj rozegra się ostatni akt tego tajemniczego i straszego dramatu.

Resztę dnia spędzili na miłej, przyjacielskiej pogawędce. Zapadł zmierzch. Wtedy Pat Hunter wyjął ze skrytki małą kwadratową skrzyneczkę, zaopatrzoną w liczne wskazówki i przestawił niektóre z nich. Wewnątrz zajaśniała jakaś płytka.

— Cóż to? — spytał Tom — radio?

Harry Dickson roześmiał się:

— Tak to wygląda, ale nie spodziewaj się, że usłyszysz jakiś koncert. Jest to detektor falowy, niezmiernie precyzyjny.

W tej chwili igielka zaczęła drgać, wskazując cyfrę, którą Pat Hunter zanotował skrętnie. Była punktualnie dziewiąta minut dwadzieścia. Trzej mężczyźni stali milcząco, wpatrując się w lśniąca płytkę i drgające wskazówki. Nagle Pat Hunter wyprostował się:

— Do peryskopu! — rzekł głucho.

Zrazu widzieli tylko nieprzeniknione ciemności, ale po chwili zaczęły się one przejaśniać i wreszcie w mdłym świetle pojawił się dziwny metalowy potwór. Zbliżał się zwolna, srebrna jego maska lśniła, jak księżyc.

— Szybko! — zawołał Hunter. — Na podwórze! Nadeszła chwila działania!

Wybiegli z pokoju i po chwili dotarli do małej kamiennej nory na dziedzińcu. Pat Hunter gorączkowo chwycił jakieś koło i zaczął je obracać. Rozległ się suchy trzask i Tom ujrzał niewielką lufę, wznoszącą się ku niebu.

— Och — szepnął — działo przeciwlotnicze!

Spojrzał na niebo: było jasne i rozgwieżdżone. Naprawdę też wyteżał słuch: nie doszły go żadne dźwięki motoru.

— Tam on jest — rzekł półgłosem Hunter — podaj mi nabój, Dickson.



Załadował armatkę i wystrzelił. Rozległ się suchy trzask i w chwili później z wysokości do-szedł ich jakiś odgłos.

— Jeszcze raz, Dickson... i patrz na detektor! Tak, zbliżają się teraz do nas bardzo szybko, nie wolno nam chybić... Ognia!

Znów huknął strzał. Lecz po chwili wysoko na niebie, ponad sąsiednimi łakami zapłonął wielki ogień i nagle zupełnie wyraźnie zarysowały się kontury sterowca.

Trwało to zaledwie kilka sekund, po czym statek powietrzny zaczął szybko spadać na ziemię i opadł wreszcie z głośnym hukkiem.

Jednocześnie ujrzeni w świetle płomieni, że ktoś, kto widocznie wyskoczył z palącego się sterowca, spada przy pomocy spadochronu. Lecz nie sążone mu było ocalenie. Spadochron bowiem w pewnej chwili również zajął się ogniem i nieszczęsny skoczek spadł na ziemię z ogromnej wysokości.

— Szybko! Muszę go koniecznie zobaczyć, zanim spłonie! — zawołał Harry Dickson.

Podbiegł do leżącego, uniósł skórzany hełm i nagle okrzyk grozy wydarł się z jego ust:

Wilkinson pomagał jej, jak mógł, był w niej zresztą bardzo zakochany... Ona kochała go także, ale... wtedy nieszczęsny uczoney zrozumiał rzecz straszliwą: jego narzeczona była prawdziwym potworem psychologicznym. Kiedy skonstruowała swego strasznego człowieka w srebrnej masce, który w rzeczywistości był automatem, mogącym działać, widzieć, słyszeć na odległość dzięki nowym falom, postanowiła użyć go do celów, wśród których kradzież była bodaj najłagodniejszym.

Człowiek w srebrnej masce, kierowany przez nią z oddali, dokonywał różnych przestępstw: zabijał, kradł, podpalał. Wreszcie Wilkinson, szalony z rozpaczy, opuścił ją. Lecz odchodząc nie zapomniał o jednym: zniszczył dokładnie straszliwą maszynę. Dhelia rozgoryczona i wściekła, zamieszkała u swego wuja i tam, nie wtajemniczając go, udoskonaliła „E. 19” tak, że stał się najwspanialszym sterowcem, jaki istniał kiedykolwiek.

Dhelia nie mogła jednak pracować sama. W Orpington poznała pewnego robotnika, który znajdował się właśnie w finansowych tarapatkach. Uratowała go od ruiny. Nazywał się on Breckpoole. Był to zdolny mechanik, dla zamaskowania jednak



## RATUJ CIE ZDROWIE!

Od dawna cierpisz na reumatyzm, każdą zmianę pogody odczuwasz w stawach, jesteś zły i apatyczny.  
Czy wiesz dlaczego?

Bo nie stosujesz **KLEROLU** który w cierpieniach reumatycznych przynosi prawdziwą ulgę.

W odróżnieniu od innych maści, zawierających tłuszcze. KLEROL-maść łatwo przenika przez pory skórne do organizmu.

KLEROL — płyn umożliwia kurację reumatyczną kąpielami, sprawiającymi przyjemność i ulgę.  
Nie czekajcie więc zbyt długo — ratujcie zdrowie.

### KLEROL PRZECIW ARTRETYZMOWI i REUMATYZMOWI.

Do nabycia w aptekach i składach aptecznych.

— To niemożliwe!

Rozpoznał bowiem twarz Dheli Caltrop.

— To był właśnie pański jedyny błąd — rzekł cicho Pat Hunter.

★

Wrócili do pałacu i usiedli w piwnicy. Na ziemi ujrzeni małą kałużę roztopionego metalu.

— Co to jest? — spytał Tom.

— Człowiek w srebrnej masce — odparł Harry Dickson.

— Ale kto był wewnątrz? Kto ukrywał się pod maską?

— Wewnątrz nic nie było — odpowiedział Pat Hunter.

— Tego już za wiele! — jęknął Tom.

Pat Hunter zapalił lampę, wyjął jeszcze jedną butelkę whisky, pudełko cygar i zaczął:

— Po zawieszeniu broni, gdy zwrócono profesorowi Caltropowi jego bezużyteczny „E. 19”, na Uniwersytecie w Londynie studiowała jego siostrzenica.

Cóż to była za studentka!... Jaki geniusz! Pracowała w laboratorium elektrycznym u boku słynnego profesora Joe Wilkinsona. I wtedy ta młoda dziewczyna uczyniła niezwykle odkrycie, dotyczące pewnych fal jeszcze prawie zupełnie nieznanych.

sprawy zaczął uprawiać zawód stolarza. Chociaż Breckpoole nie był zbyt gadatliwy, szybko jednak powiedział za dużo i wieść o wynalazku Miss Caltrop doszła do uszu jednego z najzłotocześniejszych przestępców Jelby'ego, czyli Snaggsa.

Jelby zaczął opracowywać projekt kradzieży planów wraz z niejakim Chadwickiem, byłym oficerem, który obecnie zajmował się szpiegostwem na rzecz jednego z państw Ameryki Południowej. Jelby jednak nie był zadowolony z tej spółki i zwrócił się wkrótce do innych: do Hebersteina, szpiega sowieckiego i do Rörsha, niemieckiego bandyty. Wtedy niejaki Pat Hunter, notoryczny złodziej, dowiedział się o wszystkim i razem założyli szajkę. Oczywiście poza tym każdy pracował na własną rękę i Jelby przybył do Orpingtonu, kupił posiadłość Caltropa i wybudował tam osadę. Dhelia była więc zmuszona umieścić w wiosce także swego szpiega: był nim Breckpoole.

Wtedy przebiegły Chadwick postanowił rozpocząć działanie. Udało mu się pozbyć Miss Dheli na okres czasu, wystarczający, aby zakupić sterowiec dla swych południowo-amerykańskich przyjaciół. Odjechali oni na „E. 19”.

Ale Dhelia była przewidująca i zabezpieczyła się przeciw kradzieży sterowca. Pół godziny po odjeździe jego, zaczął działać genialny mechanizm,



otworzyła się podłoga łodzi i załoga spadła w próżnię. Ale zemsta jej nie była całkowita. Przez te wszystkie lata pracowała nie tylko nad sterowcem, ale i nad odbudową swego straszliwego człowieka w srebrnej masce i wreszcie udało jej się to.

Dowiedziałem się o tym i uciekłem. Uprzedziłem także Bleachera i Traddle'a, choć byli to moi zacięci wrogowie. Jedyne uparty Chadwick nie chciał uciec i wiecie, czym to się skończyło. Dhelia była trochę zaniepokojona tym, że pan zabrał się do śledztwa, Mr. Dickson, i dlatego zastrzeliła Breckpoole'a, gdyż mógłby być niedyskretny.

Dzięki niezwykłym swoim aparatom, pozwalającym fotografować wnętrza cudzych kieszeni, znalazła ona treść mego biletu do Snaggsa. Odnalazła więc moją kryjówkę i zniszczyła ją, zabijając także Jelby'ego. Zdołałem zbiec.

— A jak odnalazła swój sterowiec? — zapytał Tom.

— Ależ nie straciła go nigdy! Te przekłete jej fale pozwalały jej kierować nim zawsze, nawet z odległości! Ale Heberstein - Traddle także zrozumiał, że złoto z Gornwick musiało tu też odegrać swoją rolę i zaatakował samolot po jego powrocie, zresztą z wynikiem dodatnim.

Zemsta Dhelii nie dała na siebie długo czekać. Następnego nocy Heberstein stracił życie, ale przedtem przyjął telefon... Dhelia bowiem wiedziała,

że Harry Dickson udaje się do Hebersteina i chciała skierować go pod pewien adres, aby tam znalazł zwłoki jej wuja i jej własne! Caltrop zginął rzeczywiście z jej ręki, ale zamiast siebie położyła obok ciała innej, podobnej dziewczyny.

Przez cały rok — ciągnął dalej Pat Hunter — czyniłem przygotowania. Pracowałem sam...

— Tak — rzekł Harry Dickson — zawsze mówiłem sobie że pan, Hunter, jest dziwnym człowiekiem, że od razu wiedział pan o co chodzi, gdy człowiek w srebrnej masce powrócił do Orpington... Słyszysz pan? — mówię powrócił! A więc musiał pan znać kiedyś tego potwora! Zresztą nie mógłby pan uciec gdy zginął Jelby, gdyby nie jakiś cud...

Nagle Pat Hunter zakrył twarz dłońmi i zasłochał.

— Tak — ciągnął dalej łagodnie detektyw — został pan oszczędzony, a cud ten — to może miłość, która nie zapomina... Zapłacił pan za wszystko, choć kocha ją pan jeszcze i, być może, ona darzy pana wzajemnością, profesorze Wilkinson! I proszę przyjąć wiadomość, że władze, poznawszy całą sprawę, oficjalnie darowały panu wszystkie winy. I ja pracowałem samotnie przez cały rok, gdyż nie chciałem panu przeszkadzać. A'e wiedziałem dobrze, że w pałacu Radcliff zastanę nie Pata Huntera, lecz profesora Joe Wilkinsona!

**Koniec.**



Następny **Nr. 46 Harry Dicksona**,  
który ukaże się we wtorek, 22 dn. listopada  
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

**SIEDEM KRZESEŁ**

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.





# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności przeistaczania się, w niezrównanej jego sztuce przebierania się, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją twarzą, swym głosem, a nawet swym wzrostem — tkwi widocznie tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym.

Harry Dickson odznacza się nieustraszoną odwagą, jego oko przenika to, co jest rajskrytszego, ruchliwość jego umysłu pozwala mu się wywikłać z najmniejbezpiecznej sytuacji, genialną intuicją rozwzuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej prowadzi go zawsze do pożądanego celu.

### Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- |                                    |                           |
|------------------------------------|---------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“                   | 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO.  |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 24. HAWAJSKI SZTYLET.     |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“         | 25. WOSKOWE JABŁKO        |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“              | 26. WIELKA GRA.           |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“             | 27. HOTEL EMIGRANTÓW.     |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“             | 28. KRWAWY KLEJNOT        |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“                 | 29. SZTUCZNE ZŁOTO.       |
| 8. „KRÓL NOCY“                     | 30. CZARNY MŚCICIEL.      |
| 9. „POSEPNA KABALA“                | 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI.    |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAL“          | 32. POŻAR W MIASTECZKU.   |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“             | 33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG.    |
| 12. „KAPIANKA OGNIĄ“               | 34. WILKOŁAK.             |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY          | 35. GWIAZDA POLARNA.      |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA                   | 36. KWADRATOWE OKNO.      |
| 15. WIDMO TUŁACZA                  | 37. WODNY CZART.          |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT           | 38. DUCH W ZAMCZYSKU.     |
| 17. DUCH ŚWIATŁA                   | 39. UPIÓR W TEATRZE       |
| 18. CZERWONA DAMA                  | 40. DEMON WIATRU.         |
| 19. MIASTO PIRATÓW                 | 41. SOBOWTÓR.             |
| 20. POSTRACH LONDYNU               | 42. NIEWIDZIALNY MĘDRZEC. |
| 21. TAJEMNICA ŁÓDZI PODWODNEJ      | 43. DANCING NA BŁOTACH.   |
| 22. NIEBIESKI BOCIAN               | 44. PRZEDZIWNY HOTEL.     |

Czytajcie

Czytajcie

# PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

**10 gr.**

szyt, stanowiący oddzielną całość

**10 gr.**

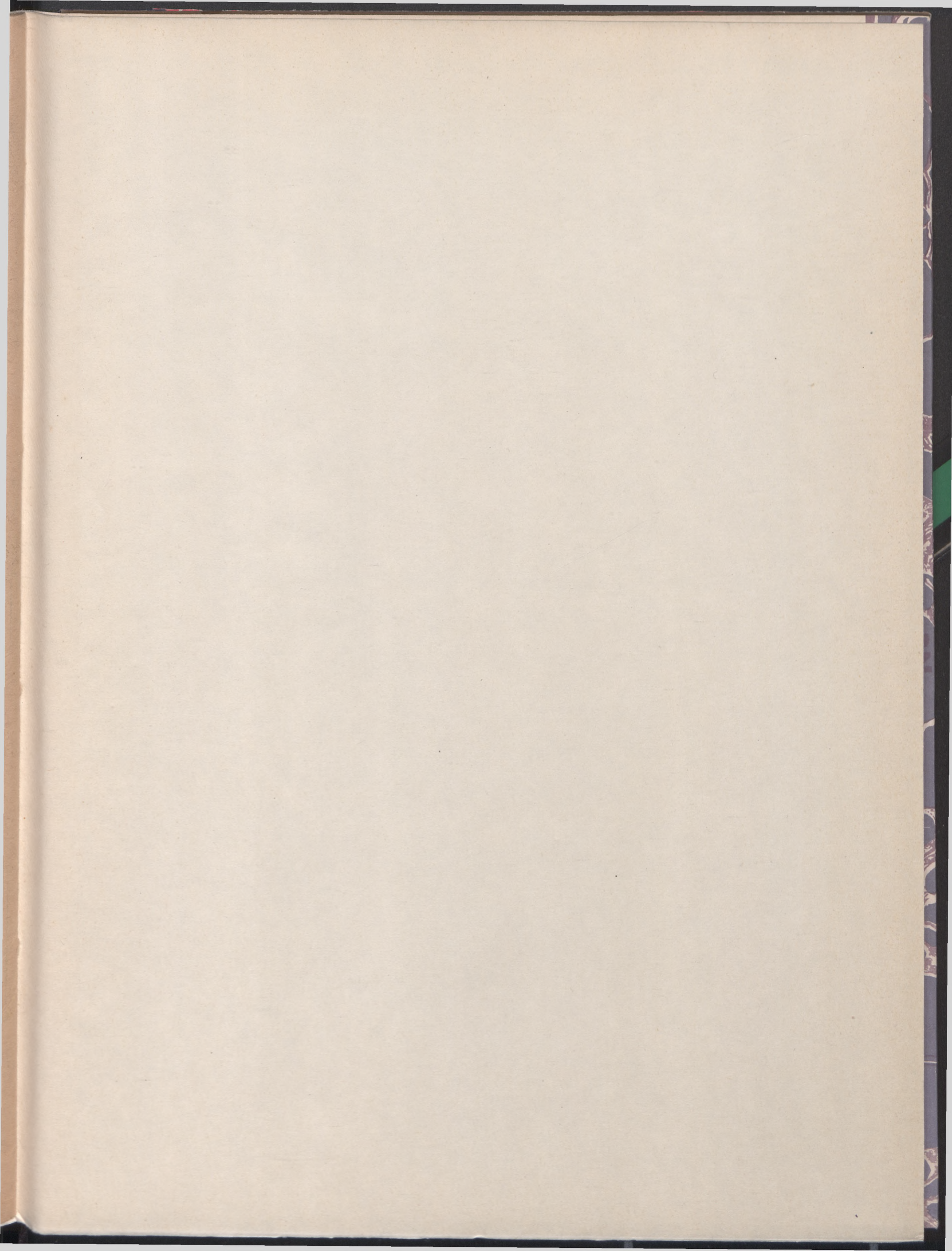
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak.

Odbito w drukarni własnej, Łódź, Piotrkowska 49 i 64.

Konto P. K. O. 68,148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56.

10100/38











Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001024366180

BN

BN





2dj  
623405/45

